MAJ 1931

NASZA PRZYSZŁOŚĆ

WOLNA TRYBUNA ZACHOWAWCZEJ MYSLI PAŃSTWOWEJ

TOM XI

WYDAWCA I REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, LIPOWA 4a, TEL. 610-36.

Drukarnia Mazowiecka, Warszawa, Szpitalna 1, tel. 649-04

TREŚĆ:

„PRZEDMURZE CHRZEŚCIJAŃSTWA“.

Znamy wszyscy słynny rysunek Grottgera, na którym polska niewiasta — symbol Polonji-męczennicy — w lochu sybirskiej kopalni, klęcząc obok taczek, napełnionych wydobytą ze skały rudą, wyciąga okute kajdanami ręce do jaśniejącego przed nią zjawiska Bogarodzicy. Na obliczu klęczącej wyraz nietylko błagania o ratunek, ale równocześnie także i zachwytu i — nadziei.

Bo nadzieją żyli Polacy w kraju i na emigracji i w więzieniach i na wygnaniu przez sto lat, pracując dla wolnej przyszłości i marząc o niej ciągle.

Rzadko, niezmiernie rzadko spełniają się marzenia, a już do najrzadszych wyjątków w życiu jednostek i narodów należy całkowite marzeń spełnienie. Wybranym zaiste musimy być narodem, skoro trzy potężne mocarstwa runęły w Europie, aby nam zmartwychwstanie polityczne umożliwić i skoro wszystko to, co niegdyś stanowiło Polskę — Warszawa, Kraków, Poznań, Lwów i Wilno — równocześnie wyzwolone z niewoli, tę samą znowu Polskę tworzy.

A raczej źle mówię, bo nie wiem napewno, czy jesteśmy wybrani, natomiast całkiem pewnem mi się wydaje, że jesteśmy wezwani — wezwani znowu do jakiejś doniosłej historycznej roli między wschodem a zachodem.

Tylko, że ten wschód i zachód i naszą między nimi rolę wyobrażamy sobie dziś jeszcze bardzo po staroświecku. Wydaje nam się, że starodawnym dalekich przodków obyczajem ciągnąć mamy na jakieś Psie Pole, czy pod Grunwald, dla rozgromienia niemieckiego najazdu, a z drugiej strony, „zasłaniać piersią naszą chrześcijaństwo i cywilizację przed nawałą wschodniego barbarzyństwa“.

A tymczasem sprawa przedstawia się dziś już inaczej,

aczkolwiek zachowała z przeszłości pewne identyczne momenty. Bo wysoka kultura i jeszcze większa dyscyplina narodowa niemiecka, wyzbywając się stopniowo z więzów narzuconego po przegranej wojnie traktatu, buduje z roku na rok, z bezprzykładną wytrwałością i konsekwencją, zręby środkowej, germańskiej Europy, z którą wszyscy muszą się liczyć, bo każdemu jest i staje się coraz bardziej — potrzebną! A na wschodzie powstaje zwolna, przy technicznej i finansowej pomocy wszystkich, dotkniętych kryzysem państw cywilizowanych, olbrzymi organizm „Stanów Zjednoczonych Eurazji". Nie hordy więc bolszewicko-mongolskie grożą nam od wschodu, jak w roku 1920, ale potężniejący z dniem każdym, olbrzymi, na amerykańską modłę konstruowany organizm państwowy, który może zgnębić nas i conajmniej także kontynent europejski, w pierwszym rzędzie nietyle militarnie, ile — ekonomicznie!!

Z tego stanu rzeczy zbyt mało zdają sobie sprawę nasi domorośli „statyści". Dla nich Rosja, to wciąż jeszcze „bolszewja". Widzą tylko krwawe, przymusowe środki, którymi obecni władcy Rosji do całkiem innego z pewnością zmierzają celu, niż to stoi w naiwnych, ad usum mas stworzonych kanonach komunistycznych. Nie bardzo może mylilibyśmy się twierdząc, że władcy ci zdają sobie doskonale sprawę z absurdów staroświeckiej filozofji komunizmu, której nazbyt integralnie dokonywana realizacja strąciłaby ich przedewszystkiem z tronu. Dla nich komunizm, owa legenda najintegralniejszej doktryny demokratycznej, owa t. zw. dyktatura proletarjatu (w istocie ich własna!), jest najoczywiściej tylko środkiem do celu. Nie komunizować chcą oni olbrzymie państwo rosyjskie w myśl dosłownych marksowskich kanonów, ale w ostatecznym rezultacie przedewszystkiem strustować wzorem mniej więcej amerykańskim.

I w tem — zdaje się — leży sedno zagadki i polityki rządu sowietów!

Prawda, że mordują, męczą i wydają na śmierć głodową setki tysięcy, czy nawet miljony mieszkańców. Prawda, że niebywały w dziejach stosują przymus i terror. Ale wszystko to — to tylko środki do szybkiego osiągnięcia celu, którym zdaje się być stworzenie wielce uprzemysłowionego i zmechanizowanego organizmu pod utrwaloną władzą pewnych polityczno-gospodarczych dynastji. Zabijają rozmyślnie wszelki intelekt i „wypędzają“ z granic państwa wszelki pierwiastek nadprzyrodzony, gdyż jedno i drugie wydaje się im przeszkodą, źródłem „sabotażu“ ich wielkiego celu.

Potęgę Ameryki północnej stworzył inteligentny indywidualizm w ciągu stukilkudziesięciu lat, przechodząc zwolna i stopniowo w system faktycznej mechanizacji jednostki. Potęgę sowieckiej Eurazji ma stworzyć w czasie dziesięć razy krótszym mechanizowane gwałtem i teroryzowane społeczeństwo. Inaczej bowiem proces „amerykanizacji“ Sowietów musiałby rozciągnąć się także conajmniej na całe stulecie, w ciągu którego groziłby Rosji co chwila proces politycznego rozkładu, a obecni władcy nie mogliby już spożywać spokojnie owoców swego planu, ale pracować musieliby chyba dla wnuków lub prawnuków. Oni zaś chcą to samo zrobić w krótkim terminie, w ciągu lat kilkunastu czy dwudziestu. I dlatego gwałt, przymus, niewolnictwo, głód, dumping i czerezwyczajka.

A przedewszystkiem nadzwyczajnie sprytne wykorzystanie kryzysu gospodarczego i podwórkowych zatargów „zgniłego zachodu“! Grożą wojną i zbroją się, korzystając z krótkowzrocznej niezgody „małokapitalistycznych“ państw i państewek Europy, dezorganizują je eksportową propagandą „komunistyczną“, którą naiwni europejczycy biorą na serjo (bo w każdym kraju znajdzie się za pieniądze zawsze pewne stado hasełkowych głupców!), gdzie można wywierają nacisk dumpingiem gospodarczym, a przedewszystkiem zmuszają wszystkich swych „ideowych“ przeciwników do wspomagania rozbudowy ich wielkomocar-

stwowego gmachu dostawą maszyn, narzędzi, materjału wojennego i inżynierów. Przecież cały zachód, od Ameryki do Polski, nietylko wspomaga gospodarczą rozbudowę państwa Sowietów, ale i zbroi je wszelkimi środkami przeciw sobie.

Takiego zjawiska, a raczej widowiska, nie było jeszcze na świecie! Z jednej strony niby gwałtowne zwalczanie, a z drugiej na wyścigi zbrojenie komunizmu, z jednej karanie go kryminałem, a z drugiej dopuszczanie go do oficjalnej areny parlamentarnej, jako jeden z „wyrazów woli ludu"! To potrafi chyba tylko skomplikowany, sprzeczny w swym wyjałowionym demokratyźmie „zgniły zachód"!

A przyczyną tego najoczywistszego, niebywałego w dziejach absurdu jest niewątpliwie fakt, że zachodnia, nawskroś utylitarystyczna, niesłychanie krótkowzroczna, bo tylko doraźnemi korzyściami kalkulująca sztuka dyplomatyczna zetknęła się z praktycznie realizowaną — ideą. Bo komunizm jest bądź co bądź ideą i jakkolwiek bezwzględnymi środkami zmierza do celu, to jednak przez sam fakt, że jest ideą, wznosi się ponad utylitarystyczne, podwórkowe kombinacje wyfraczonych dyplomatów zachodu i przeciwstawia im pewien, na dalszą metę wytyczony program, wobec którego staroświecka, wytarta, stetryczała dyplomacja zachodnia zaczyna czuć się bezsilną!

Komunizm wali naprzód wielkimi krokami prosto do celu, podczas gdy polityka międzynarodowa zachodu podskakuje niedołężnie, skrępowana tysiącznymi względami, zwyczajami, biurokratyzmem, a przedewszystkiem brakiem szczerej, uczciwej decyzji. Nie zdobyła się dotąd i może nigdy nie zdobędzie na proste i jasne określenie, że zaatakowany członek Ligi Narodów otrzyma niezwłocznie całą pomoc zbrojną wszystkich innych państw, w Lidze stowarzyszonych. Położyłoby to kres wielu trudnościom i odwróciło w bardzo znacznym stopniu groźbę nowych wojen. Ale na tak prostolinijne rozwiązywanie problemów

podstarzała, zakostniała dyplomacja „państw cywilizowanych“ nie jest w stanie się zdobyć.

Wiedzą o tem Sowiety i dlatego — obalając burżuazyjne przesądy — rozbudowują się i zbroją coraz potężniej kosztem swych głupich — tak jest, głupich! — przeciwników z zachodu.

Wielkie fabryki wojenne, wspomagane zachodnim inżynierem i materjałem, są tam w pełnym ruchu. Już 20.000 samolotów bojowych może runąć na Europę, a w pierwszym rzędzie oczywiście na Polskę. Dumping zbożowy i drzewny wzmaga się, a niebawem rozszerzy się ten dumping i na inne produkty, w pierwszym rzędzie na bawełnę, której olbrzymie pola zakładają bolszewicy z amerykańską pomocą — chociaż dumpingowa bawełna zagraża w pierwszym rzędzie produkcji Ameryki. Ale zachodni businessman nie oprze się okazji kupienia wszystkiego, co tańsze, bez względu na następstwa!

Niedawno doniesiono nam następujący fakt autentyczny z pewnego państwa zachodniego, cywilizowanego i chorującego na patrjotyczne hasło samowystarczalności gospodarczej, a dotkniętego oczywiście srodze kryzysem. Państwo to (mniejsza o to jakie, dajmy na to: republika Andorra) handluje oczywiście z Sowietami, wyczekując ich obstalunków, jak zbawienia i ofiarując im co ma najlepszego na eksport. W układzie zapewniły sobie mądre Sowiety możność płacenia gotówką lub towarem.

I oto pewnego pięknego poranku zjawia się na stacji granicznej owego państwa transport kompensacyjny paruset wagonów zboża sowieckiego. Prawnie rzecz bez zarzutu — bo towar za towar. I wówczas nastąpiła tragikomedja: oto w kraju, bankrutującym z powodu nadmiernie niskich cen zboża, wykluczających jakąkolwiek rentowność produkcji i obniżających groźnie siłę podatkową społeczeństwa, pojawiają się agenci, ofiarowując owo sowieckie zboże po cenie dwukrotnie niższej od najniższej ceny krajowej!

Czy to nie głupie państwo!? Czy tak krótkowzroczny utylitaryzm kramarski i dyplomatyczny owego kraju — oczywiście antybolszewickiego w języku — może ostać się wobec inwazji komunizmu, wojującego ideą, szybką decyzją i sprytem? Wprawdzie w ostatniej chwili nadzwyczajna ta „tranzakcja" została stanowczem veto miarodajnych czynników zatamowana, niemniej jednak gotowość owego społeczeństwa do „walki z bolszewizmem" o mało nie zajaśniała w tak oryginalny sposób!

Koniec końcem — napór bolszewizmu drogą dyplomatyczną, rewolucjonizującą i gospodarczą potęguje tylko i przyspiesza, ale bynajmniej nie stwarza ogólnego prądu obecnej „cywilizacji" zachodniej: ujarzmienia i zmechanizowania jednostki na rzecz państwa, czy olbrzymich trustów, czy wogóle jakiegoś ogółu. Postęp nowoczesnej cywilizacji, który począł się walką o wolność indywidualną, wkracza coraz bardziej na drogi przymusu. W tem jednem zgodni już są wszyscy, którzy ten postęp wyznają, bez względu na wielkie nieraz różnice zapatrywań politycznych, że przyszły demokratyczny, czyli raczej dyktatorsko-demokratyczny „raj na ziemi" będzie rajem przymusu i że rzeczą postępu jest uszczęśliwiać ludzi objektywnie (t. j. narzucać im wszelakie materjalne dobrodziejstwa kosztem największych nawet ofiar i ucisku) — nie zaś subjektywnie. Postępowcom więc zależy tylko na tem, aby narzucić ludzkości takie a takie techniczne urządzenia i ubezpieczenia za wszelką cenę, nawet za cenę gospodarczego bankructwa i moralnej deprawacji, a nic ich nie obchodzi, czy człowiek w tej twardej, przymusowej, krępującej organizacji dobrodziejstw będzie osobiście szczęśliwym czy nieszczęśliwym. Nic też ich nie obchodzi moralne podniesienie jednostki, która — ich zdaniem — musi się dostosować i ponaginać do ich maszyn, urządzeń, wynalazków, metod pracy i życia oraz dobrodziejstw społecznych, doktryną przymusowego postępu przepisanych.

A propagatorzy takiego postępu, pionierzy takiego „zwierzęcego raju“ na ziemi nie rekrutują się bynajmniej tylko z bolszewików; przeciwnie, są ich całe legjony na zachodzie i to nietylko w stronnictwach radykalnych, ale wprost nawet i wśród konserwatystów. Popierają ten kierunek mechanizujący, w istocie swej marksowski, szerokie sfery gospodarcze i naukowe. Propagują go za wszelką cenę, w krótkowzrocznym mniemaniu, że postęp taki podniesie rentowność gospodarstwa krajowego. Nie rozumieją — z dziwnym nieraz uporem — że zyskując coś niecoś na tym postępie w poszczególnych, doraźnych wypadkach, tracą przez niego równocześnie daleko więcej na wielu innych polach przez ogólną proletaryzację społeczeństwa i coraz większy jego upadek moralny. A wiadomo, że niemoralny zysk działa tylko na krótką metę i mści się dotkliwie prędzej czy później.

Największy i najlepszy postęp mechaniczny, a więc czysto materjalistyczny, nie uwzględniający, albo negliżujący dziedzinę ducha, jest fałszywy i wyda w ostatecznym rezultacie tylko złe owoce. Przecież i człowiek, który dokłada wszelkich starań dla kultury swego ciała, a negliżuje kulturę duchową, chamieje. Wierzący zaś chrześcijanin, zwłaszcza katolik, musi przyznać, że ów mechanizujący, przymusowy postęp, owa dyktatura państwa, czy klik, czy doktryn, zmierzających tylko do urządzenia jak najdogodniejszych żłobów, do których jednostka, jak bydlę, przykuta ma być łańcuchem, są wprost przeciwne pojęciu indywidualizmu duchowego jednostki, a więc chrześcijaństwu. I w tym względzie niemasz i nie może być żadnych ustępstw, sofizmatów czy kompromisów.

Zauważam nieraz, że nawet niektórzy katolicy-konserwatyści nie zdają sobie z tego sprawy i z lekkiem sercem wygłaszają uczone prelekcje o konieczności marszu społeczeństwa w kierunku jakiejś przymusowej organizacji, której niema sensu się przeciwstawiać. Każdego, kto — w głębszem zrozumieniu następstw — usiłuje hamować

nieco ów rozmach radosnej mechanizacji, nazywają krótko „liberałem“. Jakże wobec tego przeciwstawić się można na serjo penetracji marksizmu, jak można wygłaszać z emfazą zdania, że katolicyzm najlepiej przeciwstawi się bolszewizmowi, kiedy sami katolicy — i to wykształceni katolicy — leją wodę na młyn doktryny Marksa, przypieczętowując lekkomyślnie, czy nieświadomie, jej materjalne i moralne zdobycze całym swym naukowym, czy politycznym autorytetem?!

Chcąc bowiem jakiemuś najazdowi skutecznie się przeciwstawić, nie można zwalczać go na jednym froncie, czy odcinku, a paktować z nim na drugim. Trzeba odeprzeć go w całości i we wszystkich szczegółach w sposób bezkompromisowy, zdecydowany. Nie wolno lawirować. Jeżeli wielu ludzi ze sfer katolickich i społecznie umiarkowanych twierdzi, że każdy opór przeciwko postępowej mechanizacji jednostki jest „liberalizmem“, to temsamem stają oni po stronie doktryny socjalistycznej i sprzeciwiają się podstawowym zasadom katolicyzmu. Wykręty, frazesy i lawirowanie pojęciami nic tu nie pomogą, bo między złem a dobrem niemasz w istocie pomostu. Sytuacja jest jasna: z jednej strony obrona zagrożonego indywidualizmu jednostki, materjalnego i duchowego, z drugiej postępowa socjalizacja i mechanizacja. Wszystko, co na razie leży w pośrodku, nie ma żadnego istotnego, trwałego znaczenia. Trzeba się więc wyraźnie wypowiedzieć za jednem lub za drugiem i tylko na jednym z tych dwóch frontów skuteczna walka jest możliwą.

A tej walki o odpowiednią w granicach koniecznych potrzeb państwowych swobodę indywidualną i szczęście subjektywne nie wolno złośliwie lub bezkrytycznie identyfikować ze starodawną doktryną ateistyczną liberalizmu, gdyż z niego to właśnie wyrosła, w paradoksalnej konsekwencji, doktryna mechanizacji jednostki i postępowego przymusu wraz z negacją wszelkich pierwiastków moralnych i nadprzyrodzonych. Dlatego też walka w obronie

indywidualizmu twórczego jest djametralnem przeciwieństwem materjalistycznej doktryny liberalnej, jest walką o duszę, o ideę chrześcijańską.

Specjalnie zaś dla Polski — w jej specyficznem położeniu między materjalistycznym, przymusowym postępem wschodu i zachodu — napór tego postępu, idącego z bolszewizmem na czele, ma nietylko społeczne, ale w pierwszym rzędzie polityczne znaczenie: grozi nam dostaniem się pod supremację potężniejącej z dniem każdym, a do cna zmaterjalizowanej Rosji. Dla nas, Polaków, wystawionych na pierwszy ogień tego niebezpieczeństwa, sprawa rosyjskiego komunizmu jest stosunkowo rzeczą drugorzędnej wagi. Na pierwszym zaś planie stoi przed nami widmo politycznej zaborczości Rosji, mniejsza o to, jak wewnętrznie urządzonej. Bo, praktycznie biorąc, obojętnem jest dla Warszawy, czy będzie w niej rządził jakiś Repnin, czy jakiś Stalin; rzecz główna, aby nie rządził nią żaden wogóle Moskal. Przecież rzeź Pragi może urządzić tak samo czerezwyczajka, jak urządził ją niegdyś carski generał; a do robót przymusowych mogą nas zapędzać bolszewicy tak samo, jak ongiś rząd carski. Wszystko jedno nam, w gruncie rzeczy, czy mają rządzić w Polsce czynownicy czy komisarze, bo jedni i drudzy wrogo będą usposobieni i dla naszej narodowości i dla naszej religji.

I dlatego chodzi dla nas w istocie nietyle o odparcie rosyjskiego komunizmu, ile rosyjskiego niebezpieczeństwa wogóle. I na tem tle walka nasza z doktryną mechanizacji jednostki podwójnego nabiera znaczenia. Nie wolno zapominać tym, którzy z oportunistycznych względów uginają się małodusznie przed materjalizującym postępem, przed prądem społecznego przymusu i narzuconych gwałtem ustawodawczych „dobrodziejstw" wszelakiego kalibru, że z poza propagandy socjalizmu i komunizmu wyziera przeciw nam, Polakom, przedewszystkiem bagnet rosyjskiego sołdata.

I z tego punktu widzenia traktować musimy wszelkie przymusowe dobrodziejstwa nowoczesnego postępu!

A w tym punkcie właśnie otwiera się szerokie pole do właściwej, zdecydowanej ingerencji takiej szkoły krytycznej myśli państwowej, jakiej formalnym wyrazem jest Stronnictwo Prawicy Narodowej. Organizacja ta, która właściwie nie jest stronnictwem w potocznem tego słowa znaczeniu, gdyż nie posiada kadrów, ani agitatorów i nie dąży bezpośrednio do kaptowania mas — ma za główne swe zadanie ujmowanie, konkretyzowanie i propagowanie w opinji publicznej pewnych wytycznych problemów, których suma składać się winna na objektywną, twórczą myśl państwową polską w każdej dziedzinie. Inni niech rządzą i błądzą, niech politykują i lawirują, niech tworzą naprędce doraźne hasła i szczegóły na krótszą metę i z ograniczoną siłą żywotną. Zespół zaś rdzennego konserwatywnego intelektu, jaki reprezentują w ważniejszych ośrodkach państwa sztaby Prawicy Narodowej, wraz z pewnymi kręgami jej wyznawców i sympatyków, jest siłą rzeczy predestynowany przedewszystkiem do rozbudowy racjonalnej, niewzruszalnej fluktuacjami konjunktur historycznej myśli i misji państwowej i wskazywania każdemu — w chaosie walk i zmagań partyjnych, zaćmiewających często granice złego i dobrego, rozumu i absurdu — co dla państwa złem jest lub dobrem, co się godzi lub nie godzi, co na przyszłość przyniesie mu szkodę lub pożytek.

Z tego też punktu widzenia musi szkoła „czystego“, bezprzymiotnikowego konserwatyzmu znaleźć w sobie dość siły odpornej przeciw wszelkim modom politycznym, prądom, konjunkturom i zakusom, które, aczkolwiek programowo niby przeciwne doktrynie Marksa i polityce mechanizacji jednostki, w gruncie rzeczy jednak przyczyniają się mimowoli do ich wzmożenia i służą im za ślepe narzędzie. Racją bytu czystego konserwatyzmu w Polsce jest w danym momencie dziejowym bez żadnej wątpliwości

walka w obronie indywidualnej swobody jednostki.

Zadanie to niełatwe, nietylko ze względu na szalejącą, w większym lub mniejszym stopniu, w całym świecie cywilizowanym metodę ratowania się z różnych kryzysów ustrojowych, społecznych i gospodarczych drogą gwałtu i przymusu, zadawanego przez państwo jednostce, ale także i wobec częstej kapitulacji, jaką spostrzec nie trudno w samych szeregach zachowawczych przed potężnym naporem etatyzmu i mechanizacji społecznej. Faktem jest bowiem, że każdy czyn, każda książka, artykuł lub słowo ze strony konserwatysty, przyzwalające — obojętnie z jakichś względów — na kształtowanie się stosunków w państwie w kierunku ograniczania prawa własności, swobody indywidualnej, naturalnego prawa zarobkowania i kapitalizacji prywatnej, a natomiast rozszerzanie ingerencji państwowej czy społecznej w życie i pracę jednostki, jest w rezultacie współpracą w rozbudowie ustroju socjalistycznego ze wszystkiemi jego konsekwencjami pod względem materjalnym i moralnym.

To fakt, to owa „rzeczywista rzeczywistość“, której żadne polityczne lub uczone, skomplikowane frazesy krótkowzrocznego oportunizmu nie zmienią!

Nie zmieni tego rezultatu zwłaszcza często słyszana wymówka, że nietyle chodzi o subjektywne szczęście i zadowolenie jednostki, ile o przeciętne szczęście — choćby przymusowe — ogółu. Fikcyjna ta teza jest dlatego najszkodliwszą, że jakieś przeciętne szczęście ogółu nie istnieje, chyba tylko w wyobraźni upartych doktrynerów-prawodawców, a natomiast próby realizacji tej fikcji wychodzą w praktyce z reguły tylko na najprzykrzejsze materjalne i moralne obciążenie i skrępowanie każdej poszczególnej jednostki. Jak państwo bez jednostek jest fikcją (bo w rzeczywistości byłoby wówczas bezpańską pustynią), tak i szczęście państwa jest pojęciem urojonem bez faktycznego

zadowolenia poszczególnych jego obywateli. Może i powinna jednostka w pewnych momentach ponosić dla państwa ofiary — ale państwo, które rozbudowuje swój ustrój po doktrynersku w tym kierunku, aby stale przeciążać i krępować nadmiernym przymusem swych obywateli, nie ma w istocie racji bytu. Do tego przeświadczenia, przeciwnego starodawnym pojęciom tyrańskiego lub romantycznego patrjotyzmu, dochodzi trzeźwy, objektywny rozsądek obywatelski XX wieku, w którym powinien zaznaczyć się odpowiedni postęp od kanonów starożytnego prawa rzymskiego.

Na tem więc polu powinna wystąpić do zdecydowanej walki z doktryną nadmiernego przymusu nowoczesna myśl konserwatywna w imię obrony indywidualizmu człowieka. A walka ta będzie zarazem — w naturalnej konsekwencji — krucjatą dla obrony idei chrześcijańskiej.

Wszak podmiotem wiary i religji nie jest jakaś zbiorowość — państwo czy społeczeństwo — ale poszczególna jednostka, obdarzona rozumem, wolną wolą, odpowiedzialnością i — duszą! Kto nie wierzy w istnienie duszy, a więc i w istnienie Boga, albo kto w skrajnym oportuniźmie politycznym podporządkowuje pierwiastki nadprzyrodzone konjunkturze i modzie politycznej, ten oczywiście będzie iść w kierunku mechanizacji jednostki i etatyzmu, albo conajmniej lawirować będzie między indywidualizmem chrześcijańskim a mechanizmem socjalistycznym. I tych ostatnich właśnie jest dziś u nas wielu, bardzo wielu — i to nietylko wśród socjalistów! Kto natomiast szczerym jest katolikiem i zdaje sobie jasno sprawę nietylko z bezpośrednich — bo to nie żadna sztuka! — ale i pośrednich niebezpieczeństw, jakie grożą Polsce, wierze i moralności katolickiej ze strony różnych nowoczesnych prądów i konceptów, choćby nawet pozornie patrjotycznych i „państwowo-twórczych“, ten z całą świadomością i stanowczością przeciwstawić się powinien wszystkiemu, co w nadmiernym kulcie państwa

i zbiorowości grozi zmechanizowaniem i zezwierzęceniem indywidualizmu dusz.

Musimy więc stanowczo odeprzeć wszelkie pokusy „przeciętnego raju“, jakiemi wabią nas statyści i ekonomiści różnych odcieni. Odpowiedzmy im słowami owego wilka z bajki do wykarmionego na łańcuchu brytana: „Lepszy na wolności kęsek ladajaki, niźli w niewoli przysmaki“!

Chodzi więc — w ostatecznym rezultacie — o misję obrony chrześcijaństwa, która nie pierwszyzna nam, Polakom, a do której wyszkolona w nauce dziejów Polski historyczna szkoła konserwatywna powinna w pierwszym rzędzie naród wzywać i... świecić mu własnym przykładem. Nie ugięcie się przed konjunkturą, nie kompromisy na prawo i na lewo, nie gmatwanie się w uczonych sofizmatach, ale huknięcie pięścią w stół i wyraźne, zdecydowane przeciwstawienie się wrogowi, którego chytrych postępów wielu nawet z naszych własnych szeregów nie spostrzega!

Walka ta i rola przedmurza chrześcijaństwa jest dzisiaj znacznie trudniejszą, niż nią była przed kilkuset laty, gdy chodziło tylko o zbrojne odparcie półksiężyca. Dziś bowiem walczyć musimy zarówno przeciw inwazji moralnej wschodu, jak i zachodu, a nadto przeciw demagogji w kraju i oportunizmowi w sympatyzujących z nami szeregach. Dziś grozi nam nietylko bolszewizm rosyjski, nietylko masoński radykalizm zachodni, nietylko czerwone płachty, wywieszane na przedmieściach Warszawy przez różnych domorosłych komunistów, aresztowanych wprawdzie na ulicy, ale uprzywilejowanych nietykalnością w sejmie, nietylko wywrotowe, materjalistyczne „programy“ różnych naszych stronnictw partyjnych *), ale w równej niemal mierze grożą nam też różne uczone, niby w umiarkowanym i katolickim duchu pisane dzieła, które godzą się tandem tedy na łamanie prawa własności i na inne

---

*) Nie wykluczając wyraźnie prorosyjskich, a więc w praktyce i prosowieckich sympatji narodowej demokracji!

postulaty nowoczesnego „postępu“, wzmacniając je i uświęcając w opinji publicznej całym odpowiedzialnym autorytetem myśli „zachowawczej“!! Ale właśnie dlatego szczytniejszą — choć na razie z pewnością niewdzięczną i niepopularną — jest rola tych, którzy walkę tę podejmują i do końca nie zawahają się przeprowadzić. A o koniec ten jesteśmy, mimo wszelkich trudności, spokojni, gdyż przed nami stoi idea, której „bramy piekielne nie zwyciężą“, a za nami drugi silny sojusznik — życie. Tak jest, życie! Ono skruszy stopniowo wszelkie radykalne, czy sztuczne, czy oportunistyczne koncepcje i nagnie prędzej czy później opornych do posłuszeństwa prawom przyrody i prawom ducha. Żadna nowomodna, „uszczęśliwiająca“ pod przymusem koncepcja nie zmieni obrotu ziemi, ani innych praw natury, ani też nie będzie w stanie ujarzmić swobodnego ducha do roli roboczego zwierzęcia w jakiemś społecznem mrowisku!

W to wierzymy i dlatego właśnie chcemy o to walczyć. Nasze miejsce jest na froncie ducha, a nie na froncie zakuwanego w coraz cięższe społeczne okowy ciała. Szczęście — o ile jest ziszczalne na świecie — widzimy nie w możliwie największym postępie technicznym i przymusowym dobrobycie fizycznym, ale przedewszystkiem w możliwie największem duchowem zadowoleniu i swobodzie, ograniczanej tylko w niezbędnym stopniu przez pewne prawa państwowego ładu i porządku i przez pewne tylko, rzeczywiście niezbędne konieczności zbiorowego współżycia w organiźmie państwowym. Nie wierzymy natomiast, aby dobrobyt i potęga państwa i jego siły moralne dały się à la longue podtrzymywać systemem materjalnego i moralnego przeciążenia jednostek. Państwa, które tym systemem chcą wegetować, nie mają widoków rozwoju na dłuższą metę.

Tem przeświadczeniem oraz walką, w jego imieniu wydaną, może Polska zdobyć sobie wielki autorytet na zachodzie i udowodnić nareszcie tamtejszej, zakostniałej

w grubym utylitaryźmie dyplomacji właściwą swą misję i rację bytu. Tem również wzmocni się i nabierze sił do możliwej rozgrywki na wschodzie. Jak bowiem o losie nowoczesnej walki na okopach decydują nietyle czołgi i inne machiny zniszczenia, ile w ostatniej linji idący za niemi żołnierz, tak i w walce o potęgę państwa, jego siłę moralną i dobrobyt, decydować będą nietyle jakieś zbiorowe koncepcje ustrojowe czy gospodarcze, ile przedewszystkiem siła twórcza poszczególnych, moralnie wolnych i zdrowych obywateli.

A pionierem tego kierunku, tego wielkiego zadania może i musi być właśnie objektywna, krytyczna myśl zachowawcza, oparta na głębszem zrozumieniu ideologji katolickiego chrystjanizmu!

Jan Bobrzyński.

UBEZPIECZENIA W POLSCE.

Posiadamy w Polsce ubezpieczenia rzeczowe, osobowe i społeczne. Posiadamy dobrowolne i przymusowe, te ostatnie, jako w kraju o bardzo niewyraźnym ustroju gospodarczym — ustroju kapitalistycznym bez kapitałów, niszczące coraz bardziej resztki ubezpieczeń dobrowolnych.

Cechą bowiem główną naszych gospodarczych urządzeń jest wybujały etatyzm, utrudniający na każdem polu wszelką prywatną inicjatywę i twórczość gospodarczą.

Co do ubezpieczeń rzeczowych w Polsce, to, jak wiadomo, najważniejszy ich dział, t. j. ubezpieczenia budynków od ognia, są w Polsce przymusowe, z małym jedynie wyjątkiem budynków przemysłowych.

Pozostawiona bowiem pozatem swoboda ubezpieczania trzeciej części nie w etatystycznem tylko, ale w prywatnym zakładzie — jest raczej teoretyczną. Każdy ubezpieczać musi całą wartość budynku, z możności zaś ubezpieczania 1/3-ciej w innym zakładzie nie korzysta z pewnością żaden chłop; rzadko też zdarza się, by z prawa tego korzystał i człowiek inteligentny, biorąc na siebie obowiązek terminowego donoszenia o tem monopolistycznemu zakładowi, przedkładania polis i t. p.

Obywatel polski, który cokolwiek produkuje i coś więcej posiada, narażonym jest na tyle przymusowej pisaniny w sprawach podatkowych, rozlicznych ubezpieczeń społecznych i z powodu panującej w Polsce epidemji wymagania od każdego, przy każdej sposobności, przez różne urzędy, wykazów statystycznych pod karą grzywny i aresztu, tak będzie wreszcie uciemiężony nowymi przepisami o meldunkach, których nie dość ścisłe wykonanie grozi mu również grzywną lub aresztem, że na dobrowolne wzięcie

na siebie jeszcze jednego działu pisaniny mało kto się zdecyduje.

Dlatego też przymus ustawowy ubezpieczenia 2/3-ich budynków w monopolistycznym zakładzie uzupełniony jest w części przymusem faktycznym ubezpieczania w tymże samym zakładzie także i pozostałej trzeciej części. Dla wszystkich więc nie etatystycznych zakładów ubezpieczeń w Polsce pozostały do ubezpieczenia przeważnie tylko budynki przemysłowe. Że zaś budynki przemysłowe są gorszem ryzykiem, niż kamienice w miastach i budynki folwarczne oraz kościelne i że ich jest stosunkowo mało, nic więc dziwnego, że prywatne zakłady ubezpieczeń ujrzały się pozbawione znacznej większości swych dotychczasowych portfeli ubezpieczeniowych. Portfele ich kurczyły się coraz więcej w miarę, jak i ubezpieczenia ruchomości od ognia zaczęły się stopniowo — w miarę zapadających pod naciskiem z góry uchwał sejmików powiatowych — otaczać też przymusem i wyłącznym monopolem tejże samej monopolistycznej instytucji.

Prywatne więc zakłady ubezpieczeń, pozbawione lwich części swych portfeli i ograniczone do ryzyk gorszych, zaczęły upadać lub też z konieczności, dla ratowania się i dopełnienia swych zobowiązań, oddawać się w ręce obcego kapitału. Musiały tak czynić tem więcej, że u władz centralnych nie znajdowały poparcia — a nawet organa nadzorcze rządu działały tak, jakby ich zamiarem było doprowadzić je do upadku, by oczyścić całkiem pole dla etatystycznej, obdarzonej monopolem i opartej o przymus instytucji.

W dziale więc ubezpieczeń rzeczowych, a zwłaszcza ogniowych, wszystkiem niemal jest teraz w Polsce etatystyczna instytucja: Powszechny Zakład Ubezpieczeń Wzajemnych (P. Z. U. W.), zwany krótko „Pzuwem".

Przymus ubezpieczeń ogniowych i monopol jednej instytucji w Polsce wprowadzony został ustawą z dnia 21 czerwca 1921 r. Uchwalenie tej ustawy przez sejm było

typowem dziełem sejmowładczem, a właściwie partjowładczem. Dokonanem bowiem zostało nie w interesie państwa ani ludności, ale w interesie partyjnym. Potężne wtedy i wraz z socjalistami decydujące o wszystkiem w Polsce stronnictwo „Piasta“ chciało mieć w monopolistycznej, opartej na przymusie instytucji swój partyjny folwark, który z tysiącem urzędników, oddziałami i agenturami po całym kraju, byłby na usługi partji!

Miało to być wynagrodzeniem za to, że Piastowcy zgodzili się na uczynienie z Kas Chorych partyjnych folwarków socjalistów. Piastowcy chcieli też przy tej sposobności zyskać różne rzeczy przy koniecznej i tak likwidacji ich partyjnego zakładu ubezpieczeń „Wisła“ i funkcjonarjuszów zbankrutowanej „Wisły“ w monopolistycznym zakładzie zatrudnić.

Naturalnie, że przy dyskusji w sejmie usiłowano pokryć istotne intencje deklamacjami o interesie ludności, o ratowaniu tych, co pożytku ubezpieczeń jeszcze nie rozumieją i t. d.

Opanowanie instytucji i agentur nie udało się jednak Piastowcom. Przyszedł maj r. 1926, który sejmo- i partjowładztwu kres położył i hasło „Pareat Patria — vivat partja!“ zohydził i unicestwił.

Ale stworzone przez partyjnictwo ustawy i instytucje zostały i niszczą dalej majątek narodowy i produkcję.

Ustawa z 21 czerwca 1921 r., uzupełniona później dekretami z dnia 10 października 1924 r. i z dnia 27 maja 1927 r., jest do dziś dnia podstawą i obowiązującą normą prawną dla przymusu ubezpieczeń ogniowych i dla monopolu warszawskiej instytucji, zwanej najpierw P. D. U. W. — obecnie P. Z. U. W. Co do samej zasady przymusu ubezpieczeń ogniowych, to trudno zaprzeczyć, że przymus taki jest, zwłaszcza na kresach wschodnich, gdzie ludność bardzo jeszcze ciemna i pożytku ubezpieczeń nie rozumie, rzeczą pożądaną. Pożądanym on jest nawet i w central-

nej Polsce, a nawet i w województwach południowych, bo i tu, dopóki nie było przymusu, chłopi ubezpieczali się od ognia stosunkowo nielicznie i pożary — których swoją drogą było wtedy znacznie mniej — rujnowały szereg egzystencji.

Nie przymus więc jest rzeczą złą. Przymus, ograniczony tylko do tych, co pożytku ubezpieczeń dobrowolnych jeszcze nie rozumieją, t. j. do budynków chłopskich, np. niżej 6.000 zł. wartości szacunkowej, był i jest nadal pożądanym i powinien pozostać.

Ale z pod tego przymusu powinny być wyjęte nietylko budynki przemysłowe, ale i kamienice w miastach, kościoły, budynki plebańskie i folwarczne, które prawie zawsze ubezpieczono i to z większą dla ubezpieczających korzyścią, bo konkurencja prywatnych zakładów polepszała warunki i działała obniżająco na wkładki. Prywatne zakłady musiały bardzo dbać o swych klijentów, z których każdy mógł im uciec i przenieść się z ubezpieczeniem do konkurencyjnego zakładu.

Tymczasem zakładowi monopolistycznemu, przy przymusie ubezpieczeń, nikt uciec nie może. Zakład więc taki może o klijentów nie dbać — może ich nawet lekceważyć.

Nie jest więc złym ograniczony do mniejszych budynków przymus. Złym i szkodliwym natomiast jest monopol jednej instytucji. Podlegający przymusowi powinni więc mieć prawo wyboru pomiędzy kilkoma, pozostającymi pod kontrolą rządu zakładami.

Dalszem i to największem złem w obowiązujących pod tym względem w Polsce normach prawnych i opartej na nich gospodarce P. Z. U. W. jest postanowienie, że budynki mają być ubezpieczone od ich pełnej wartości. To postanowienie doprowadziło w Polsce do wzmożonej ogromnie palności, do niszczenia idącego w dymach majątku narodowego i do premji dla podpalaczy i oszustw.

Bo P. Z. U. W., objąwszy naraz ubezpieczenie przeszło dziesięciu miljonów budynków, nie był w stanie każdego z tych budynków, zwłaszcza po wsiach, indywidualnie i dokładnie oszacować. Ustanowiono więc tylko ogólnikowe normy szacunkowe. Przyjęto zasadę, że budynek drewniany, parterowy, słomą kryty, posiadający taką a taką kubaturę, należy szacować szablonowo na tyle a tyle.

Tymczasem w wartości różnych budynków takich samych rozmiarów zachodzić musiały olbrzymie nieraz różnice. Chałupa nowa, z dobrego drzewa zbudowana, przedstawiała prawie całkiem inną wartość, jak stara, stojąca już może 60 lub więcej lat — gdzie drzewo już było spróchniałe, której właściciel wiedział, że podpierając może ją jeszcze kilka lat w stanie mieszkalnym utrzymać, ale w razie rozbiórki lub zawalenia się drzewo już nawet i na opał nie bardzo się nada.

Otóż przy szacunkach, przeprowadzanych — z powodu niemożności podołania ogromowi zadań — nie indywidualnie, lecz szablonowo, stara chałupa została oszacowaną do ubezpieczenia na tę samą sumę, co tej samej wielkości nowa. I w następstwie tego, już z samego początku działalności P. Z. U. W., po stabilizacji waluty stało się, że wielka bardzo ilość budynków nowych została oszacowana i ubezpieczona za nisko, a natomiast stare, spróchniałe budynki za wysoko. Dla właścicieli takich starych budynków zaczęło więc być dobrym interesem wywoływanie pożarów, przyczem w gęsto zabudowanych osiedlach szły często z dymem całe wsie.

Odszkodowania przy wzmożonej palności zaczęły być dla środków pieniężnych P. Z. U. W. za wielkie. Groziło tem, że składki na wypłacanie takich odszkodowań i na bardzo wielkie, rosnące wciąż koszty administracji nie wystarczą.

Jakże więc poradził sobie w tym impasie P. Z. U. W.? Nie będąc w stanie, mimo tysiącznej rzeszy urzędników, 10-ciu miljonów budynków indywidualnie i dokładnie osza-

cować i przekonawszy się, że na ocenicieli wiejskich spuścić się żadną miarą nie można, posłużono się znów szablonem. Szablonowo podwyższono wszystkie szacunki, a temsamem i składki, stopniowo, w przeciągu trzech lat, o przeszło drugie tyle, bo o 105%. Następstwa nie dały długo czekać na siebie. To, co przedtem było tylko częstym wyjątkiem, że właściciel starego, spróchniałego budynku robił dobry interes na pożarze, bo za otrzymane odszkodowanie mógł nietylko nowy budynek wystawić, ale mu jeszcze trochę gotówki pozostało w kieszeni, to w latach 1929 i 1930 stało się niemal regułą.

I Polska zaczerwieniła się łunami coraz częstszych, w znacznej części przez samych właścicieli spowodowanych pożarów. T e c h n i k a p o d p a l a n i a w y d o s k o n a l i ł a s i ę. Ślady umiano zacierać tak po mistrzowsku, że zaledwie może jeden na stu podpalaczy szedł za to do kryminału.

Przy pomocy lekko tlejącego czyru lub, co pewniejsze, przy pomocy taniego budzika w kombinacji z pudełkiem zapałek i rozlanej nafty, umiano regulować chwilę wybuchu pożaru. Chłop kazał dzieciom wypędzić inwentarz żywy na pastwisko, sam z babą jechał na targ do miasteczka, a tymczasem w chwili jego nieobecności wybuchał pożar. Gdy chłop wrócił, zastawał już tylko dymiące zgliszcza.

Dla niepoznaki lamentował bardzo, baba piszczała, aż po całej wsi słychać ją było, z żalu za spaloną pierzyną i poduszkami, za przyodziewą i innym statkiem. Bo chłop był na tyle ostrożny, że nie wszystko przed pożarem wynosił, zostawiał trochę na spalenie, dla niepoznaki. Czasem — o ile ten chłop był jakimś dygnitarzem gminnym, przechowującym u siebie gminne pieniądze — zarabiał i na tem, bo oczywiście opowiadał, że mu się pieniądze te i jego własne w skrzyni spaliły. Miał nawet często na pokaz opalony banknot. Nie jestem prorokiem, ale w kilku wy-

padkach byłem nim, bo w swej okolicy na wsi wskazywałem raz na stare chałupy przepowiadając, że się wnet spalą. I to się w dwuch wypadkach sprawdziło.

Przy takich oszukańczych podpaleniach, nawet gdy były jakie poszlaki, to najczęściej niedość wyraźne, by sąd mógł skazać przestępcę, a P. Z. U. W. odmówić odszkodowania. Jako przykład przytoczę wypadek, zaszły u mnie na wsi. Właściciel starych budynków targował się na tydzień przed pożarem o cenę budulca i desek z tartaku z mym leśniczym. Potem przychodził do mnie z prośbą, bym mu na cenie opuścił, bo inaczej nie kupi. Potem przez kilka dni wywoził swój dobytek. Policjanci o tem zeznali. Mimo to na rozprawie karnej został od winy i kary uwolniony. Przesiedział się tyle tylko, co w śledztwie. Potem wypuszczono go, jako niewinnego i odszkodowanie otrzymał. Tylko jeżeli czasem właściciel folwarku zaryzykuje oszukańcze podpalenie, to idzie do kryminału. I nic dziwnego. Bo jeżeli człowiek z pewnem wykształceniem i kulturą obyczajową puszcza się na coś podobnego, to musi to być skończony łajdak. Taki zaś niejedną zapewne krzywdę ludzką ma na sumieniu, choćby wobec własnej czeladzi, że zaś żyje na wsi jak w szklanym domu, śledzony przez liczne oczy, więc nie potrafi tak łatwo, jak chłop, śladów zatrzeć. Przed kilku zaledwie miesiącami skazano w Krakowie właścicielkę dóbr za taką sprawkę na rok ciężkiego więzienia.

Do wzrostu liczby oszukańczych podpaleń przyczyniają się nietylko szablonowe i często zbyt wysokie szacunki ubezpieczeniowe, nietylko potanienie budulca drzewnego więcej, jak o połowę, ale i przesilenie rolnicze i związana z tem niemożność zdobycia gotówki. Ponieważ niema obecnie w rolnictwie ani jednego produktu, od żyta począwszy, a na świniach skończywszy, na którymby rolnik nie musiał bardzo znacznie tracić; ponieważ w następstwie ten rolnik, choć ma co jeść, ale gotówki na sól, na buty i przyodziewę zdobyć nie może, więc w rozpaczy jedyny sposób

zdobycia gotówki widzi w sprytnem i ostrożnem wywołaniu pożaru własnych budynków i wzięciu odszkodowania.

I stosunki pod tym względem, mimo dokonanego świeżo na rozkaz ministra skarbu obniżenia szacunków o 10%, nie wykazują tendencji do poprawy. To 10%-owe zniżenie może być dostatecznem przy budynkach nowych, choć i to wobec ogromnej zniżki cen drzewa nie jest pewnem, nie może być jednak wystarczającem przy budynkach starych.

W jakiem szalonem tempie rośnie w następstwie tego wszystkiego liczba pożarów w Polsce, to okazuje się z cyfr, podanych w sprawozdaniach P. Z. U. W.

Oto podczas gdy w r. 1926 wypłacił P. Z. U. W. odszkodowań pożarowych 10.303.401 zł., to w r. 1929 wypłacił ich już pięć i pół raza więcej, bo 54.161.128 zł.

Gdyby był wypłacił dwa razy więcej, to nie byłoby to jeszcze dowodem wzmożonej palności, bo podwyższono szacunki, ale pięć i pół raza!! Ogromne rozmnożenie palności widać również z cyfr spalonych budynków. W r. 1926 spaliło się ich 25.887, a w r. 1929 — 51.000. Cyfr z r. 1930 nie posiadam.

Najwięcej podpalają chłopi własnych budynków w powiecie Mławskim, bo podczas gdy suma składek asekuracyjnych w tym powiecie wynosiła w r. 1929 351.260 zł., to suma przyznanych odszkodowań za pogorzele wynosiła w tymże samym roku 1.276.000 zł., a zatem bez mała 4 razy więcej. W powiecie Drohiczyn wymierzono w roku 1929 składek 345.500 zł., a odszkodowań przyznano 909.000 zł., t. j. bez mała 3 razy więcej. W powiecie Kostopolskim — składki 540.740 zł., a odszkodowania 1.315.000 zł., t. j. dwa i pół razy więcej. Podobnie w powiatach Łuninieckim, Lidzkim, Opatowskim i t. d.

W całem np. województwie poleskiem składki wyniosły 3.942.060 zł., a odszkodowania 3.867.000 zł., t. j. 98%. Że zaś koszta administracyjne P. Z. U. W. są wysokie, bo wynoszą około 25% składek (na r. 1930 prelimi-

nowano je w wysokości 17.200.000 zł.), więc nawet tam, gdzie odszkodowania są nieco niższe od składek, P. Z. U. W. traci.

Dopiero w lepszem pod tym względem województwie lubelskiem, gdzie odszkodowania wyniosły 75% składek, może zakład z biedą koniec z końcem związać! Ale uczciwsza, nie dopuszczająca się w tych rozmiarach oszustw ludność, musi płacić za oszustów!

Z powyższego widzimy, jakim szalonym błędem, jaką materjalną i moralną szkodą było wprowadzenie w Polsce przymusu ubezpieczeń ogniowych w pełnej wartości budynków, w połączeniu z monopolem jednej, uprzywilejowanej instytucji etatystycznej.

Jest to szkodą materjalną — bo wzmaga się zastraszająco palność i coraz większy procent zawartego w budynkach majątku narodowego idzie z dymem, bo podkopuje się byt prywatnych zakładów ubezpieczeń, z których pewne były przed wojną naszą chlubą.

Jest szkodą moralną, bo taki stan rzeczy szerzy naokół demoralizację, a im więcej jest wypadków pożarów podejrzanej natury i im więcej niewątpliwych zysków właścicieli na pogorzelach ich budynków, im więcej wypadków bezkarności w braku dowodów, tem większa zachęta dla innych, by te przykłady dla zdobycia gotówki naśladować.

O tem, by przy utrzymaniu obecnej ustawy i dekretów mogła zajść w tych stosunkach znaczniejsza zmiana na lepsze, nie ma co nawet marzyć.

P. Z. U. W. nie może się już dłużej ratować przed następstwami wzmożonej palności dotychczasową metodą, t. j. ciągłem podwyższaniem szacunków i składek. Składki te są już teraz tak wysokie, że u przeciętnego chłopa wynoszą więcej, niż wszystkie podatki pań-

s t w o w e, a dalsze stosowanie tego systemu doprowadziłoby rzecz do absurdu.

Zresztą dalszemu podwyższaniu szacunków położył koniec p. Minister Skarbu, który polecił nawet obniżyć szacunki o 10%.

W trudnem położeniu z powodu niemożności podwyższenia szacunków i składek przy wzmagającej się palności radzi sobie w ostatnich czasach P. Z. U. W. w ten sposób, że na wypadek pogorzeli szacuje się spalony budynek na podstawie badania niedopałków i przesłuchiwania policji i sąsiadów i jeżeli okaże się z tych badań, że budynek nie był wart tyle, na ile był ubezpieczony, to zwraca się poszkodowanemu część nadpłaconej składki i wypłaca się zredukowane odszkodowanie. Więc jeżeli np. budynek ubezpieczony został na 6.000 zł., a przy badaniu niedopałków i przesłuchiwaniu sąsiadów okazało się, że drzewo w nim było spróchniałe, to wypłaca się jako zredukowany szacunek szkody tylko np. 4.000 zł., zwracając równocześnie kilkadziesiąt zł. nadpłaconych składek.

Sposób ten jest wielce praktyczny i, szeroko stosowany, może istotnie P. Z. U. W. od niedoborów uchronić, a gdy się szerokie masy o tem dowiedzą, może to nawet do oszukańczych podpaleń, jako już nie lukratywnych, zniechęcić i palność w Polsce wydatnie zmniejszyć.

Sposób ten jednak stosowany być dłużej nie może i musi być zaniechany dlatego, że jest wprost n i e u c z c i w y i zniszczyłby dobre imię nieskazitelnej dotychczas instytucji.

Nieuczciwym jest ten sposób dlatego, że łamie przyjęte przez P. Z. U. W. zobowiązanie wypłacenia odszkodowania na podstawie szacunku, przez sam zakład, bez wniosku właściciela, ustanowionego. Niesprawiedliwym jest, bo krzywdzi tych licznych, którzy choć ich stare budynki za wysoko do ubezpieczenia oszacowano, dotychczas ich nie podpalili. Ci w płaconych za wysokich składkach, będą mieć karę za uczciwość. Sposób ten wreszcie utrzy-

mać się nie da, bo choćby na razie ten i ów ciemny chłop zgodził się na to, to niebawem docierać zaczną do takich chłopów doradcy prawni i zaczną się procesy, które, ponieważ są jeszcze sędziowie w Polsce, będzie Zakład przegrywał i płacił koszta.

Przy obecnych normach prawnych i przymusie ubezpieczenia budynków w pełnej ich wartości niema dla P. Z. U. W. innej rady, jak tylko zarządzić indywidualne oszacowanie dziesięciu miljonów budynków w najkrótszym czasie. Do tego zaś trzeba nie tysiąca, ale najmniej dziesięciu tysięcy urzędników, zasługujących w całej pełni na najwyższy stopień zaufania. Co kilka lat trzeba też te dziesięć miljonów budynków indywidualnie przeszacować. Gdy zaś takie indywidualne szacowanie i przeszacowywanie jest wielce trudnem z powodu nadmiernych kosztów i z powodu braku ludzi odpowiednich i musi się na razie pozostać przy szablonie, nieuniknionem jest przeprowadzenie jak najrychlej conajmniej takiej zmiany ustawy, by budynków drewnianych i nie krytych ogniotrwale nie wolno było ubezpieczać wyżej, jak do 2/3 szacunku, pozostawiając trzecią część nieubezpieczoną na ryzyko właściciela, którejby mu w innym zakładzie nie wolno było ubezpieczać.

Przy takiej zmianie ustawy, nawet przy szablonowych szacunkach, trafiałoby się to stosunkowo rzadko, by właściciel mógł jeszcze na pożarze zarobić.

Normalnie, mając 1/3 nieubezpieczoną, musiałby bardzo dbać o bezpieczeństwo od ognia, bardzo cenić sobie straże ogniowe, na które obecnie niejeden patrzy z niechęcią i palność zmniejszyłaby się wtedy do rozmiarów z przed wojny lub z czasów dewaluacji marki.

Tę więc zmianę ustawy, by nie wolno było ubezpieczać budynków w pełnej ich wartości, ale jakaś część pozostaćby musiała nieubezpieczona na ryzyko właściciela, uważam dla stosunków w Polsce za nieodzownie konieczną.

Za pożądaną również uważałbym taką zmianę w obowiązujących normach prawnych, by przymus i monopol

jednej instytucji dotyczył tylko budynków niżej 6.000 zł. wartości szacunkowej, inne zaś wszystkie by zostawić ubezpieczeniu dobrowolnemu i swobodnej konkurencji prywatnych zakładów.

Przeciw takiej zmianie jednak podnoszą z różnych stron dwa zarzuty:

1) Że przymusowe ubezpieczenie większych budynków według obecnej ustawy ma tę dobrą stronę, iż czy właściciel zapłaci na czas składkę ubezpieczeniową, czy nie, to na wypadek pogorzeli P. Z. U. W. musi w każdym razie odszkodowanie wypłacić, potrącając tylko zaległe składki, prywatny natomiast zakład na wypadek niewpłacenia składki w terminie stornuje ubezpieczenie i nie wypłaci nic. Ta zaś okoliczność jest, zwłaszcza w obecnym czasie przesilenia i niebywałych trudności w zdobyciu gotówki, rzeczą bardzo wielkiej wagi.

2) Że gdyby się przymus i monopol P. Z. U. W. ograniczyło tylko do budynków niżej 6.000 zł. wartości, t. j. do budynków chłopskich, będących zawsze najgorszem ryzykiem ubezpieczeniowem, to P. Z. U. W. nie mógłby się utrzymać.

Argument pod 1) ma oczywiście dość dużo za sobą, nie jest jednak może tak wielkiej wagi, by mógł się wobec przeciwnych argumentów ostać. Gorzej jest jednak z zarzutem pod 2). Istotnie, że monopolistyczny zakład, ograniczony tylko do najgorszych ryzyk chłopskich, miałby bardzo utrudnione ustalanie swego bytu i zgromadzenie odpowiednich rezerw.

Mam więc wrażenie, że monopol i przymus będzie musiał co do budynków pozostać i że jedynemi ustawowemi zmianami, jakie będą musiały być przeprowadzone, będzie zakaz ubezpieczenia budynków w ich pełnej wartości, z pozostawieniem przy budynkach drewnianych, nieogniotrwale krytych 1/3, przy drewnianych z ogniotrwałem pokryciem 1/4, przy murowanych, ogniotrwale krytych na wsi 1/5, przy kamienicach, ogniotrwale krytych w wielkich mia-

stach, gdzie są doskonale zorganizowane straże ogniowe, 1/10-tej części ubezpieczonej, na ryzyko właściciela.

Te zmiany w ustawie są koniecznemi do przeprowadzenia, jeżeli nie chcemy dalszego niszczenia majątku narodowego i szerzenia się demoralizacji.

Należałoby też wykluczyć z pod przymusu ubezpieczenia ruchomości, gdyż oszacowanie indywidualne jest jeszcze trudniejszem i pole do spekulacyjnych pożarów bardzo szerokie.

Należy więc odebrać sejmikom prawo uchwalania przymusu co do ubezpieczeń ruchomości. Możnaby jednak już zostawić to prawo co do ubezpieczenia inwentarza żywego od pomoru, oraz ubezpieczenia gradowego. Tu bowiem pole do nadużyć jest małe i np. gradu nikt na swe pola ściągnąć nie potrafi. Otwartą jest więc tylko kwestja, czy dobrze jest nakładać na ludność takie ciężary, które wyczerpują siłę płatniczą bez korzyści dla skarbu państwa? Zapobieganie szerzeniu się pomoru zwierząt należy do rządu, zmuszanie zaś rolników, w których okolicy gradu od dziesiątków lat nie było, do ubezpieczania się jest nakładaniem niczem nieuzasadnionych ciężarów.

Tyle o polskich stosunkach i ustawach i ich błędach w dziale ubezpieczeń rzeczowych.

Ubezpieczeniem budynków przemysłowych od pożarów, ubezpieczeniem ruchomości i gradowem tam, gdzie sejmiki nie wprowadziły przymusu i monopolu P. Z. U. W., zajmują się w Polsce prywatne zakłady ubezpieczeń. One też zajmują się ubezpieczeniem od kradzieży, ubezpieczeniem samochodów, ubezpieczeniem od odpowiedzialności prawnej, wreszcie — z działu ubezpieczeń osobowych — ubezpieczeniem życiowem w przeróżnych jego formach, z wyjątkiem ubezpieczenia pensyjnego pracowników umysłowych, ubezpieczenia na wypadek niezdolności do pracy, od wypadku i od choroby, bo te są znów w całej Polsce lub w niektórych jej częściach przymusowemi i wykonywanemi przez monopolistyczne zakłady. O działalności

i powodzeniu prywatnych zakładów ubezpieczeń i o korzyściach, jakie one społeczeństwu przynoszą, nie będę wspominał, bo niektóre z tych zakładów musiały się wobec panujących stosunków finansowo zachwiać, więc omawianie bliższe tych stosunków mogłoby i tym zakładom i ich klijentom zaszkodzić.

Przechodzę teraz do drugiego wielkiego działu ubezpieczeń, wyłącznie osobowych, t. zw. ubezpieczeń społecznych, które w Polsce oparte są niestety na najfałszywszej i najszkodliwszej zasadzie nietylko przymusu, ale i bezwzględnego monopolu zakładów, będących na mocy obowiązujących ustaw istotnemi państwami w państwie.

Zakłady ubezpieczeń społecznych w Polsce rozbudowano tak, że żaden z najbogatszych krajów świata pod względem rozbudowy ubezpieczeń społecznych Polsce nie dorówna; wyciskają ze zubożałej do ostateczności i zamierającej już naszej produkcji przeszło pół miljarda zł. rocznie (570 miljonów), z czego ubezpieczeni nader mały mają pożytek, a producenci ogromny ciężar, pod którym załamują się jeden po drugim.

Dotychczas wydusiły ubezpieczenia społeczne z naszej produkcji blisko 4 i pół miljarda złotych. I jakby to inaczej wyglądało nasze położenie gospodarcze, o ile to łatwiejby nam było przetrwać obecne ciężkie przesilenie, gdyby naszej produkcji tych olbrzymich zasobów kapitałowych nie odjęto i gdyby nasze warsztaty produkcyjne miały jeszcze te kwoty, jako kapitał obrotowy!

Prym w szkodliwości i szerzeniu naokół materjalnych i moralnych zniszczeń dzierżą bez wątpienia nasze Kasy Chorych. Mamy w Polsce 245 Kas Chorych, jakby udzielnych, nie skoordynowanych między sobą państewek, mających faktyczne prawa imperji dowolnego nakładania i egzekwowania składek i kar, prowadzenia dochodzeń śledczych i t. p. Te Kasy Chorych ani starostom, ani wojewodom nie podlegają, ta zaś kontrola, jaką wykonują nad

niemi Okręgowe Urzędy Ubezpieczeń — jeden taki urząd na 5 lub, jak warszawski, jeden na 7 województw — nie jest żadną kontrolą. Nadzór ten istnieje tylko na papierze. Niezawisłość tych Kas od rządu idzie tak daleko, że, jak podnosi w swem sprawozdaniu Komisja dla reformy administracji z r. 1925, władzom rządowym służy tylko prawo podwyższania, nie zaś zniżania opłat kasowych.

Obecny Minister Pracy i Opieki Społecznej, generał Hubicki, przyznał w jednem z zeszłorocznych swoich przemówień, że w Kasach Chorych rozwielmożnione było partyjnictwo polityczne i demoralizacja zarówno funkcjonarjuszów, jak i ubezpieczonych; że działalność niektórych z nich nacechowaną była „horrendami" tak w dziedzinie gospodarki, jak i w wielce zaniedbanej dziedzinie lecznictwa; że Kasy te budowały pałace bez budżetu; że naczelny lekarz jednej z Kas zajęty był po całych dniach wypisywaniem recept na nadgniotki i t. p.

P. Minister Hubicki ma najzupełniejszą słuszność. Oby zechciał nie poprzestać na krytycznych słowach tylko, ale zabrać się do radykalnych zmian ustawowych i do oczyszczenia raz tej stajni Eugiasza!

Że Kasy Chorych pobudowały pałace, to miałem sposobność stwierdzić naocznie, objechawszy w zeszłym roku moim Fordem całą Polskę.

Zazdrościłem ziemianom z b. zaboru rosyjskiego tego przywileju, że tam w wielu powiatach obowiązkowi ubezpieczenia swych ludzi w Kasach Chorych nie podlegają, gdyż Kas tych tam nie zaprowadzono. Litowałem się natomiast nad powiatami, w których pobudowano już wspaniałe pałace, jako pomnik zdzierstwa.

Jadąc np. na wschodnie podkarpacie, zatrzymałem się w podgórskiem powiatowem miasteczku Dolinie. Okolice miasteczka ubogie. Ludność żyła głównie z zarobków przy wyrąbach lasów, z dostawy do tartaków, pracy na tartakach i odstawy desek do kolei. Obecnie wyręby ogra-

niczono, bo eksport drzewa prawie ustał, a w kraju zapotrzebowanie minimalne.

Tartaki stoją nieczynne. Wszędzie nędza, upadek, a żydowskie sklepy w miasteczku bankrutują jeden po drugim. A nad nędznymi domkami miasteczka, nad temi gospodarczemi ruinami, góruje wspaniały pałac z napisem „Powiatowa Kasa Chorych", jako pomnik samobójczej gospodarki i jako świadectwo, że była tu niegdyś praca produktywna, którą zniszczono, a w tej niszczycielskiej robocie jedną z głównych ról odgrywała Kasa Chorych.

Bo opłaty na rzecz Kas Chorych są dla przemysłu, rolnictwa, a zwłaszcza dla pracowników umysłowych niejednokrotnie wyższe, jak wszystkie podatki państwowe razem wzięte.

Mam sąsiada ziemianina, który wszystkich podatków państwowych płaci rocznie 9.000 zł., a na samą tylko Kasę Chorych 12.000 zł.! Jego czeladź i robotnicy nie mogą z powodu oddalenia z lecznictwa kasowego należycie korzystać. Gdyby zaś tego ziemianina uwolniono od obowiązku ubezpieczenia chorobowego swych ludzi, a nałożono nań obowiązek leczenia i utrzymywania ich w chorobie, to mógłby kosztem 2.400 zł. rocznie mieć ugodzonego lekarza, któryby do każdego chorego na miejsce przyjeżdżał; najwyżej 600 zł. kosztowałaby apteka, a preliminując jeszcze 1.000 zł. na zastępstwa w czasie choroby i szpital, miałby dla swych ludzi za trzecią część tego, co płaci Kasie Chorych, o wiele lepsze leczenie i opiekę i sam nie byłby doprowadzony do bankructwa.

Jeszcze więcej rażący stosunek między wysokością podatków państwowych a świadczeń na ubezpieczenia społeczne zachodzi u pracowników umysłowych. I tak urzędnik prywatny, pobierający 500 zł. miesięcznie, który z reguły nigdy prawie z lecznictwa przez Kasy Chorych nie

korzysta, płaci rocznie wszystkich podatków państwowych 186 zł., sama zaś tylko Kasa Chorych ściąga z tytułu egzystencji tego pracownika od niego i od pracodawcy 337 zł. 56 gr. Gdy się do tego doda inne ubezpieczenia społeczne, to okaże się, że bez ubezpieczenia od wypadków, którego wysokości, jako zależnej od kategorji niebezpieczeństwa, obliczyć się nie da, ubezpieczenia społeczne mają z niego 913 zł. rocznie, t. j. 5 razy więcej, jak podatek państwowy, przez niego płacony. Pracownik, pobierający tylko 250 zł. miesięcznie, płaci tytułem podatków państwowych 57 zł. rocznie. Natomiast zakłady ubezpieczeń społecznych, bez ubezpieczenia od wypadków, ściągają z tytułu istnienia tego pracownika 550 zł. rocznie, t. j. blisko 10 razy więcej. Lwią część tych olbrzymich ciężarów pobierają Kasy Chorych, dając wzamian bardzo mało, bo niedostateczną tylko opiekę lekarską, tanie lekarstwa i minimalne świadczenia, demoralizując natomiast naokoło zarówno swych funkcjonarjuszów, jak i ubezpieczonych, a nawet aptekarzy i pracodawców. Ubezpieczeni, zwłaszcza po miastach, symulują chorobę, by wyłudzić zasiłki, a otrzymanemi lekarstwami handlować. Symulacje takie przybierają masowe wprost rozmiary. Pracodawcy kłamią, jak mogą, zatajając podlegających ubezpieczeniu pracowników i umniejszając w zeznaniach wysokości ich poborów w porozumieniu z nimi.

Są też aptekarze, którzy na recepty, przepisujące symulantom lekarstwa, wydają na ich żądanie zamiast lekarstw perfumy, mydełka, a czasem i alkohol. Lekarze, zmuszeni do badania czasem i 30 osób w godzinie, manierują się. Władza lekarska mechanizuje się i obniża. Jednem słowem, ogólna demoralizacja i całkowite bagno.

Kasy Chorych pobierają 7.5 do 8% zarobków ubezpieczonych jako składki, nie szanując niedziel ani świąt, bo obliczając zarobki do wymiaru składek za 7 dni w tygodniu. Tymczasem w budżecie przeciętnego obywatela koszta leczenia jego i rodziny wynoszą w przecięciu 2%

dochodów. Magistrat miasta Warszawy, nie słynący wcale z najlepszej administracji, zapewnia swym pracownikom opiekę lekarską lepszą i świadczenia wyższe, niż w Kasach Chorych i wzamian za to pobiera tylko 2.4% płac. Ale też wydatki administracyjne magistratu warszawskiego na lecznictwo wynoszą tylko 3.5%, podczas gdy w Kasach Chorych w przecięciu 11%.

Pomoc lekarska w wielu nie wzorowo z pewnością prowadzonych przedsiębiorstwach państwowych, oraz bankach państwowych, wolnych od przymusu należenia do Kas Chorych, kosztuje przeciętnie 2 do 2.5% uposażeń, a więc trzecią część tego, co w Kasach Chorych.

Dlaczegoż więc w Kasach Chorych ma to kosztować 7.5 do 8%? Chyba dlatego, że za podstawę bierze się Kasy Chorych w powiatach czysto rolniczych, w których niema przemysłu, a własność folwarczna uległa już pod gniotem eksterminacyjnych ustaw progresywnych podatków i opłat na ubezpieczenia społeczne i folwarki poszły na parcelację.

W takich powiatach ma Kasa Chorych minimalne tylko ilości ubezpieczonych, tylko służbę domową w miasteczkach i to nie wszystką, bo urzędnicy, chcąc uchylić się od tego ciężaru, wolą mieszkać poza granicami miasteczka.

Są przecież czysto rolnicze, pozbawione już prawie zupełnie własności folwarcznej powiaty, w których Kasa Chorych ma już tylko zaledwie kilkuset ubezpieczonych i pałac jako pamiątkę po lepszych czasach, gdy jeszcze opłacająca Kasę produkcja w danym powiecie istniała. Koszta administracyjne na utrzymanie dyrektora i kilku sił pomocniczych, bo oprócz funkcjonarjuszów kancelaryjnych bywają też przecież osobni wywiadowcy i egzekutorowie, muszą w tych stosunkach pożerać taki ogromny procent składek, że 2 ani 4% zarobków ubezpieczonych nie może wystarczyć.

Ale też utrzymywanie Kas Chorych w takich powiatach jest wobec tego, że własność ziemska niżej 70 ha obo-

wiązkowi ubezpieczenia swej czeladzi nie podlega, oczywistym nonsensem.

Jednym z największych bezwstydów w ustawie o Kasach Chorych jest to, że tylko własność ziemska ponad 70 ha ma obowiązek ubezpieczenia swych robotników, czeladzi i służby. Własność mniejsza od tej granicy jest od tego olbrzymiego ciężaru wolną.

Ustawodawcy troszczyli się więc bardzo o zdrowie rolników i czeladzi w gospodarstwach folwarcznych, o zdrowie zaś czeladzi w większych nawet gospodarstwach chłopskich, gdzie gospodarz notorycznie o leczenie swych ludzi dba mało, bo i sam się nie leczy, nie troszczyli się wcale.

Tym bowiem, którzy te ustawy układali, nie chodziło bynajmniej o dobro robotników, tylko o własne osobiste i partyjne korzyści i w tym kierunku poszli z najzupełniejszym bezwstydem. Socjaliści chcieli mieć w Kasach Chorych narzędzie swych partyjnych wpływów i dochodów, a potężni wówczas piastowcy zgodzili się na to wzamian za reformę rolną, ochronę drobnych dzierżawców, zajmowanie drzewa w lasach prywatnych, przywileje podatkowe i t. p., pod tym jednak warunkiem, że wyborcy p. Witosa nie będą potrzebowali z tytułu ubezpieczeń społecznych nic płacić, natomiast, że płacić będą jak najwięcej ziemianie. Jeszcze jeden z licznych sposobów do jak najprędszego zniszczenia własności folwarcznej!

Równocześnie, dla zapewnienia socjalistom możności zdobycia Kas Chorych, urządzono powszechne, proporcjonalne wybory w ten sposób, że pracodawcy, obowiązani do płacenia 2/3 składek, mieli mieć w radach Kas tylko 1/3 głosów, a ubezpieczeni, płacący tylko 1/3-cią, najczęściej zaś nie płacący nic, bo cały ciężar ponoszą pracodawcy, mają mieć 2/3 głosów.

Tyle o obecnem ustawodawstwie i jego wykonaniu w odniesieniu do Kas Chorych.

Niemało też szkodliwych nonsensów zawierają normy prawne, odnoszące się do ubezpieczenia od wypadków. Bo ubezpieczenia płacić się musi, nawet tam, gdzie przy wykonywaniu pracy zarobkowej nie może poprostu zajść żaden wypadek.

Bo jakiż wypadek może spotkać robotnika przy kulturach lasowych, przy plewieniu w ogrodzie lub sadzeniu ziemniaków. Jakiż wypadek spotkać może pisarza w kancelarji?

A i przy tych pracach, gdzie mogą być wypadki, kategorje niebezpieczeństwa obliczone są w początkach zarobków stanowczo za wysoko. W razie zaś zaszłego wypadku ma pracodawca tyle pisaniny (zgłoszenie w 4 egzemplarzach), a poszkodowany musi tak długo na załatwienie swej sprawy czekać, że tylko przy jakimś większym wypadku opłaci się o nim donosić, gdzie zaś wypadek powoduje tylko kilkodniową niezdolność do pracy, pracodawca woli z własnych funduszów wynagrodzić robotnika.

To też Zakład Ubezpieczenia od wypadków gromadzi kapitały i zmienia się na bank, co nie jest przecie jego zadaniem. Tyle z tego korzyści, że banki państwowe mogą zmuszać zakład do kupowania swych listów zastawnych po wysokim kursie. Zakład może dość dużo tych listów rocznie zakupić, bo coroczny przyrost jego rezerw przenosi kwotę 20 miljonów.

O ile jednak nasze ubezpieczenia od wypadków, choć za daleko idące i za kosztowne, nie przynoszą gospodarstwu narodowemu większych szkód, to nie można już tego samego powiedzieć o naszem ubezpieczeniu od bezrobocia, które — fałszywie przeprowadzone — jest ogromnym ciężarem dla skarbu państwa, jest czynnikiem demoralizacji — popieraniem próżniactwa

i premją dla zawodowych bezrobotnych.

Jest rzeczą powszechnie znaną, że zarejestrowani bezrobotni odrzucają zaofiarowaną im pracę zarobkową, za którą przy uwzględnieniu pobieranego zasiłku otrzymaliby zbyt małą przewyżkę, by im się warto było trudzić!

Przeciw ubezpieczeniu pensyjnemu dla pracowników umysłowych, oraz na wypadek bezrobocia tychże pracowników, nie podnoszę zarzutów. Ubezpieczenia takie są potrzebne i życzyćby tylko należało, by odnośne zakłady prowadzone były oszczędniej, niż dotychczas.

Co do wszystkich innych ubezpieczeń społecznych, powołanych do życia przez nasze sejmowładztwo, jest najzupełniej niewątpliwem, że pominąwszy ich wady i błędy, oraz egoistyczne cele partyjne, którym zwłaszcza Kasy Chorych miały służyć, przerastają one swymi rozmiarami wytrzymałość naszej produkcji i stają się jednem z głównych narzędzi do jej niszczenia — ale i wystraszania z Polski skromnych resztek kapitałów własnych i do odstraszania obcych. Bo jeżeli ze społeczeństwa, pozbawionego już kapitałów, wyciskają one jednak blisko 600 miljonów rocznie, jeżeli roczny przyrost rezerw zakładów ubezpieczeń społecznych wynosi u nas około 170 miljonów, jeżeli nawet w tych zakładach, gdzie przyrost rezerw nie jest potrzebny i służyć może tylko na zbytkowne inwestycje, jak w Kasach Chorych, przyrasta jednak rocznie 36 miljonów — to jasnem jest, że utrzymywanie dalej takiego stanu rzeczy jest dla naszych stosunków gospodarczych zabójczem i skończyć się musi katastrofą.

Dziś, po trwałem już na szczęście złamaniu sejmowładztwa, po zdobyciu przez rząd znacznej i karnej większości w obu izbach naszego parlamentu, najważniejszem i najpilniejszem dla sanacji gospodarczej zadaniem powinna być nowelizacja ustaw o ubezpieczeniach społecznych w kierunku znacznego

zmniejszenia ciężarów, gniotących z tego tytułu naszą produkcję.

Sprawa jest naglącą tem więcej, że nasze gospodarstwo narodowe przeżywa długotrwałe a bardzo ciężkie przesilenie. Ciężko cierpi przemysł, nie mając możności zbytu swych wytworów po najniżej wykalkulowanej cenie, upada handel, a w agonji już jest rolnictwo, nie mogąc otrzymać za swe płody cen, pokrywających przynajmniej koszta produkcji.

W tych warunkach, gdy ciężarów podatkowych równomierniej rozłożyć dla ulżenia tym, co lwią część tych ciężarów dźwigają, tak szybko nie można, naglącą sprawą jest wydatne zmniejszenie ciężarów z tytułu ubezpieczeń społecznych.

A w jakim kierunku powinna pójść reforma naszego odnośnego ustawodawstwa?

Co do Kas Chorych, przedewszystkiem w kierunku zniesienia bezwzględnego monopolu, przez dopuszczenie możności tworzenia i prowadzenia pod kontrolą władz prywatnych Kas zastępczych, do których należenie uwalniałoby od opłat do oficjalnej Kasy Chorych.

Monopol bezwzględny dotychczasowych Kas Chorych jest w obowiązującej ustawie rzeczą najgorszą.

Monopol taki deprawuje, zwalnia od przymusu oszczędnego gospodarowania, od starania się o zadowolenie ubezpieczonych, staje się źródłem biurokratyzmu, niedołęstwa lub nawet nadużyć.

Już sam fakt zezwolenia przedsiębiorstwom lub związkom przedsiębiorstw na tworzenie Kas zastępczych skłoniłby oficjalne Kasy Chorych do takiego obniżenia składek i polepszenia lecznictwa, by nikomu nie opłaciło się tworzenie Kasy zastępczej.

Kasa zastępcza kosztowałaby pracodawców i ubezpieczonych — biorąc za podstawę doświadczenia magistratu Warszawy i banków państwowych — nie więcej, jak 2 do 3% zarobków ubezpieczonych.

Przyniosłoby to więc produkcji ulgę ogromną, z korzyścią dla ubezpieczonych.

Takie obniżenie składek — więcej, jak o połowę — pozwoliłoby cały ciężar składek nałożyć na pracodawców, uwalniając ubezpieczonych, którzy powinni natomiast za korzystanie z pomocy lekarskiej i za aptekę uiszczać drobne opłaty — np. po złotym za porady i po złotym za lekarstwa — a to w celu zapobieżenia tak niesłychanie częstemu obecnie symulowaniu choroby dla próżnowania kosztem Kasy, dla uzyskiwania lekarstw na handel i t. p.

Każdy lekarz Kasowy stwierdzi, jakie rozmiary przybiera wśród ubezpieczonych hipochondria lub wprost udawanie choroby dla uzyskania zasiłków chorobowych i w jakim stopniu ma każdy z nich do czynienia z łazikami i symulantami, których zdemaskować bardzo trudno.

W dziennikach czytaliśmy, że rząd nasz myślał już na serjo o wprowadzeniu takiej inowacji, ale że potem, wobec opozycji symulantów, cofnął się z tej drogi. Byłoby to ubolewania godnem. Korzyści takiej inowacji nie trudno przecież obliczyć.

Według sprawozdania Kasy Chorych miasta Warszawy za r. 1928, udzielono w tym okresie 3.336.000 porad lekarskich i wypisano 4.569.000 recept. Przyjmując opłatę po 1 zł. za poradę i tak samo za aptekę, uzyskałoby się dla Kasy Warszawskiej 8 miljonów zł., t. j. 20% składek. Gdy zaś uwzględni się utrudnienie oszustw symulantom, oszczędzi się może i 30%, co pozwoliłoby składki o ten procent zniżyć.

Sposób ten zresztą nie jest niczem nowem. W sąsiednich Niemczech wypróbowano to już od pół roku z powodzeniem.

Na podstawie „Notverordnung“ z 26 lipca 1930 r., nałożono tam opłaty tylko za porady lekarskie i tylko w wysokości 50 fenigów. Wyniki, mimo przeszkód ze strony kół lekarskich i aptekarskich, są najzupełniej zadowalniające.

Urzędowy komunikat oddziału prasowego Ministerstwa Pracy Rzeszy stwierdza, że zarządzenie to już pozwoliło na obniżkę składek. Przeciętna składka roczna spadła ze 110 na 90 marek, nie mówiąc o korzyściach z powodu zniechęcenia części symulantów.

Jeżeli więc rząd niemiecki nie uląkł się sprzeciwów lekarzy, aptekarzy i symulantów, dlaczegóż nasz tak silny i taką większość mający w parlamencie i w opinji społeczeństwa rząd miałby mieć mniej odwagi cywilnej?

Inowacja, wprowadzająca u nas opłaty po złotym za poradę i za aptekę, przy równoczesnem przerzuceniu całej, nie więcej jak 3% wynoszącej składki na pracodawców, nietylko nie obciążyłaby, lecz bardzo wydatnie odciążyła ubezpieczonego.

W związku z taką inowacją przerzucenia całości nie przenoszących 3% zarobków składek na pracodawców, zwiększonymby być musiał w zarządach Kas udział pracodawców do 2/3-cich, pozostawiając ubezpieczonym, nie płacącym nic, lub tylko drobne kwoty w razie korzystania z Kasowej pomocy lekarskiej, 1/3-ciej miejsc. W ten sposób zapobiegłoby się zarazem opanowaniu Kas przez partje polityczne.

Przejściowy bowiem sposób, jakiego rząd przed wyborami użył, t. j. rozwiązanie zarządów i postawienie na czele Kas komisarzy, nie może być instytucją trwałą i przytem nie zawsze zamierzony cel osiąga. Bo cóż z tego, że np. na czele Kasy Chorych w wielkiem mieście stoi mianowany komisarz, kiedy personel administracyjny jest nadal ten sam i w Kasie rządzi partja!

Dalej uwolnićby należało od obowiązku ubezpieczenia w Kasach Chorych całą czysto rolniczą produkcję. Rolnictwo potrzebuje z powodu zdrowych warunków pracy mniej ubezpieczenia chorobowego, a z powodu oddalenia od miasteczek mało może z lecznictwa kasowego korzystać i płaci poprostu za innych.

Zresztą ten bezwstydny absurd, by tylko czeladź i robotnicy folwarczni mieli być ubezpieczeni, a czeladź i robotnicy w gospodarstwach chłopskich, gdzie gospodarz o zdrowie swych ludzi dba mało, nie podlegali obowiązkowi ubezpieczenia — ten absurd utrzymać się przecież po zniesieniu sejmowładztwa nie da!

Albo wszyscy najemni pracownicy rolni, bez względu na wielkość gospodarstwa i bez względu na to, czy to jest w powiatach b. zaboru rosyjskiego, czy innych, powinni być ubezpieczeni, albo żaden.

Że zaś zmuszanie chłopów do ubezpieczenia swej czeladzi byłoby trudnem i wielce niepopularnem, więc należy całą produkcję rolniczą we wszystkich b. zaborach od tego ciężaru uwolnić, nakładając równocześnie na wszystkich pracodawców rolniczych ustawowy obowiązek leczenia swych pracowników i utrzymywania ich przez pewien czas w chorobie. Pracownikom zaś należy przyznać prawo skargi w razie niespełniania przez pracodawcę tego obowiązku.

Kasy Chorych, jako instytucje czysto fabryczne i miejskie, nie powinny być przenoszone do stosunków wiejskich. Już obecnie Kasy Chorych w powiatach czysto rolniczych są po zniszczeniu własności folwarcznej zupełnym anachronizmem. Niektóre z nich, choć w pierwszych latach istnienia pobudowały sobie pałace, obecnie już ledwie dyszą, ograniczone do kilkuset zaledwie członków czeladzi rzemieślniczej i służby domowej w miasteczkach, a i ta ilość maleje, bo rzemiosło upada, a na utrzymanie służby mało kogo już stać.

Projektowane obecnie przez rząd zniesienie małych Kas Chorych, a zostawienie ich w Polsce tylko 50-ciu, o minimalnej ilości członków 10.000 osób, o ileby rolnictwo, rzemiosło i służba domowa w miasteczkach podlegały dalej ubezpieczeniu, nie da albo żadnych oszczędności, albo tylko minimalne. Bo dla wydawania kartek, utrzymywania ewidencji i t. p. trzeba będzie dalej utrzymać w każdym

powiecie biuro z dwoma najmniej funkcjonarjuszami, t. j. akurat tyle samo, co w czysto rolniczych powiatach jest teraz.

Zniesienie małych Kas powinno być zniesieniem zupełnem. Pozostać one powinny w liczbie 50-ciu tylko w większych miastach i ośrodkach przemysłowych.

Ustawodawstwo o Kasach Chorych wymaga wreszcie tej zmiany, by Kasy te przestały być nareszcie państwami w państwie; by władza rządu i kontrola nad niemi nie była tylko martwą literą, lecz była istotną i ścisłą.

Nietylko jednak ustawodawstwo o ubezpieczeniu chorobowem wymaga daleko idących zmian.

W ustawie o ubezpieczeniu od wypadków należy też znieść absurdalne rozróżnienia między wielką a małą własnością, z których ta druga obowiązkowi ubezpieczenia całkiem nie podlega. Przecież nietylko w gospodarstwie folwarcznem, ale i w chłopskiem może krowa pracownika pobość albo koń kopnąć i ciężko uszkodzić, albo nawet zabić. Ubezpieczenie więc od wypadków w rolnictwie należy albo rozciągnąć na wszystkie gospodarstwa, utrzymujące bydło rogate i konie, albo też, bez rozróżnienia wielkości obszaru, ograniczyć obowiązek ubezpieczenia tylko do tych gospodarstw, które używają maszyn, poruszanych siłą motoryczną.

Temsamem dotknęłoby to tylko własność folwarczną, ale wyglądałoby przynajmniej nie tak nieprzyzwoicie. Nie wyglądałoby to jako jedno z narzędzi do niszczenia większej produkcji rolnej. Należałoby też uwolnić od obowiązku ubezpieczenia te kategorje pracowników, które przy swej pracy nie są narażone w związku z nią na żadne zgoła niebezpieczeństwo wypadku, jak urzędnicy kancelaryjni, pisarze, robotnicy, zajęci przy kulturach lasowych, przy plewieniu, sadzeniu ziemniaków i t. p.; tam zaś, gdzie niebezpieczeństwo wypadku jest możliwem, procenta składek

od zarobków, odpowiednio do dotychczasowych doświadczeń, poobniżać, przy zachowaniu ewentualnie możności podwyższania ich w razie koniecznej potrzeby. Bo nie jest jeszcze zadaniem Zakładu Ubezpieczeń od wypadków gromadzenie nad potrzebę miljonów na to tylko, by było gdzie lokować po wysokim a sztywnym kursie listy zastawne banków państwowych.

Wreszcie, co do ubezpieczenia od bezrobocia, należy dążyć do takiej zmiany ustawy, aby wykonanie jej nie było premją dla łazików, próżniaków i „zawodowych bezrobotnych". Zakład ubezpieczenia od bezrobocia powinien zarejestrowanym bezrobotnym dostarczać przedewszystkiem pracy zarobkowej i przewozić na miejsce pracy.

Bezrobotny zaś winien być obowiązany każdą daną mu pracę zarobkową przyjąć.

W razie absolutnej niemożności dostarczenia pracy zarobkowej wszystkim, powinien Zakład utrzymywać ich, t. j. dać im dach nad głową, opał i skromną, ale dostateczną żywność, żadnych jednak pieniędzy, które w pewnej części bywają przepijane.

Wypłacanie bowiem pieniężnych zasiłków jest demoralizującem, bywa zbyt często premją za nałogowy wstręt do pracy. O wiele taniej będzie kosztować utrzymywanie bezrobotnych przez zimę, a zatrudnianie ich w innych porach roku przy wielkich robotach, np. przy osuszaniu Polesia, budowie dróg i mostów i t. p., jak wypłacanie zasiłków w pieniądzach, nie mówiąc o tem, że roboty przynoszą pożytek, a próżnowanie z zasiłkiem pieniężnym tylko moralne i materjalne szkody, których korzyści dla monopolu spirytusowego z pewnością nie zrównoważą.

Na zakończenie jeszcze o jednej kwestji słów kilka. W byłym zaborze pruskim istnieją także ubezpieczenia na starość i niezdolność do pracy w formie t. zw. znaczków inwalidzkich.

Klub B. B. W. R. postawił w sejmie wniosek o wprowadzenie jeszcze tych dwuch gałęzi ubezpieczeń społecznych i w innych częściach państwa.

Przybyłyby więc jeszcze nowe ubezpieczenia i nowe, dobijające produkcję ciężary.

Otóż muszę zwrócić uwagę, że ubezpieczenie na starość i niezdolność do pracy jest w istocie swej wielce niepedagogicznem. Jednem z zadań rządu jest przecież wychowywać ludność w kierunku pracy i oszczędności. Główną zaś podnietą do wysiłków w pracy i do oszczędzania jest dla każdego pracownika to, by nietylko zaopatrzyć swą rodzinę, ale, aby i sobie środki do życia na starość zapewnić.

Gdy ta troska o starość odpadnie, to pracownik, nie mający rodziny lub nie dbający tak bardzo o nią, będzie pracował tyle tylko, by wyżyć. Oszczędzać nie będzie, bo poco, gdy będzie miał zapewnioną rentę na starość!

Wprowadzenie więc jeszcze nowych ubezpieczeń na starość i niezdolność do pracy, będzie nową materjalną i moralną szkodą społeczną. Że w jednej dzielnicy takie ubezpieczenie jest, to nie jest jeszcze przekonywującym argumentem.

Każdy rozsądny człowiek w Polsce uznaje już, że ubezpieczenia społeczne zostały u nas rozbudowane ponad potrzebę i ponad możność ubogiego i ubożejącego wciąż społeczeństwa i że zostały urządzone dla interesów partyjnych w sposób niszczycielski i urągający zdrowemu rozsądkowi; że niektóre ich gałęzie stały się w wykonaniu jednym wielkim skandalem.

Zadaniem rządu, opartego o stałą większość parlamentarną, rządu sanacji moralnej i gospodarczej, jest stosunki te uzdrowić.

Więc nie tworzyć nowych, tylko zredukować istniejące ubezpieczenia społeczne do granic koniecznej potrze-

by, więc ulżyć obciążonej ponad możność produkcji. Ulgi zaś — i to bardzo znaczne — da się osiągnąć i przez komasację ubezpieczeń i przez ograniczanie monopolistycznego stanowiska Kas Chorych i przez inne wskazane wyżej inowacje. Nie lekceważmy obcych wzorów i pamiętajmy o ostatniej zapowiedzi austrjackiego ministra pracy! Wszak w Austrji opracowano w tamtejszym rządzie i opublikowano cały plan gruntownej reorganizacji tamtejszego ustawodawstwa o ubezpieczeniach społecznych, dążący wyraźnie do położenia końca inflacji tego ustawodawstwa i do odciążenia zarówno warsztatów produkcyjnych, jak i skarbu państwa.

Plan ten obejmuje nowelę do przepisów o umowie o pracę, nowelę do ustawy o ubezpieczeniu robotników, zarówno na wypadek choroby, jak i od wypadków, dalej nowelę do ustawy o ubezpieczeniu pracowników umysłowych, wreszcie do ustawy o ubezpieczeniu na wypadek bezrobocia.

W szczególności co do ubezpieczenia chorobowego, wprowadza projekt noweli opłaty ubezpieczonych od każdej porady lekarskiej i od każdej recepty, wprowadza dalej 3-dniowy okres wyczekiwania, wskutek czego zasiłek chorobowy zmalałby w pierwszym tygodniu o 50%, wprowadza wreszcie postanowienie, że pomoc lekarską otrzymują jedynie małżonkowie i dzieci ubezpieczonych.

Co do ubezpieczenia od bezrobocia, to prawo pobierania zasiłków ma być ograniczone i uzależnione od indywidualnej potrzeby ubezpieczonego.

I tak, prawo do pobierania zasiłków powstaje tylko wtedy, gdy żyjąca we wspólnem gospodarstwie domowem z ubezpieczonym rodzina nie posiada dostatecznych środków utrzymania. Np. nowela pozbawia zasiłków takich ubezpieczonych, których małżonek lub małżonka otrzymuje pełny zarobek.

Rząd austrjacki spodziewa się po tych nowelach od-

ciążenia świadczeń skarbu państwowego o 50 miljonów szylingów, odciążenia zaś produkcji o 20 miljonów szylingów. W szczególności świadczenia przemysłu mają być przez to zredukowane z 50 na 33%.

Te projekty austrjackie powinien nasz rząd dokładnie przestudjować, nie dlatego, by je ślepo naśladować, podstawą bowiem tych austrjackich projektów jest także polityczna intencja upodobnienia się do nowych zmian w ustawach socjalnych Niemiec, lecz dlatego, by z nich wyłuskać zdrowe ziarno.

W Polsce rządzą teraz nami byli żołnierze. Odzyskali nam oni pod przewodem swego ubóstwianego wodza własną państwowość i uratowali ją potem w r. 1920 na polach krwawych bitew.

Zasłynęli odwagą wojskową. Dostawszy się teraz do władzy i nie mając na swej drodze żadnych już parlamentarnych przeszkód, niechże nas ratują i w pracy pokojowej. Niechże zdobędą się i na odwagę cywilną, by mimo krzyków opozycji potrzebne reformy ustawodawcze przeprowadzić i wprowadzić.

I jeżeli różne łaziki, symulanci chorobowi i zawodowi bezrobotni będą niezadowoleni i prasa centrolewu podniesie krzyk i zacznie z tego tytułu na rząd wymyślać, to niechże sobie nasi rządzący generałowie i pułkownicy przypomną głośny ongiś artykuł b. ministra Moraczewskiego, który, choć socjalista i etatystyczny doktryner, stracił wreszcie cierpliwość wobec ujadań tych, coby wciąż chcieli żyć wygodnie z cudzej pracy i ze skarbu państwa i dał im odpowiedź w artykule pod wymownym tytułem:

„Hołoto — i czego ty jeszcze chcesz?!!".

Jeżeli nasi władcy warszawscy na potrzebną odwagę cywilną się nie zdobędą, to obawiam się, że wszystko zacznie się u nas załamywać, a wśród powszechnego bankructwa gotowiśmy wtedy być zmuszeni zrezygnować

z czegoś więcej, jak z naszych ubezpieczeń społecznych, bo z naszego mocarstwowego stanowiska, bo z naszej gospodarczej, a może i nietylko gospodarczej niezawisłości.

„Venit summa dies et ineluctabile fatum".

Dr. Jan Hupka.

TRZECI TOM DZIEJÓW POLSKI MICHAŁA BOBRZYŃSKIEGO.

Pomijając rozprawy szczegółowe, wyjaśniające w formie „przyczynków“, „kilku słów“ lub „uwag“ jakiś drobny odcinek dziejów, lub jakieś pojedyńcze zagadnienie, współczesna lub mniej więcej współczesna historja narodu, wykładana w szerszym zakresie, podawaną bywa czytelnikom zwykle w sposób, przez autora specyficznie „nastrojony“. Odnosi się to w pierwszym rzędzie do polskiej historji porozbiorowej, a zwłaszcza powojennej, gdzie prawda dziejowa, rozbijając się wciąż między djametralnie przeciwnemi pojęciami, nastrojami i orjentacjami, a częstokroć naciągana bez skrupułu do różnych celów partyjno-politycznych, daleko więcej gmatwa się i zaciemnia, niż ustalone bezstronniejszą krytyką najodleglejsze dzieje.

To też w niedawno minionej epoce porozbiorowej mieliśmy — sądząc z djametralnie sprzecznych zapatrywań różnych autorów — nie jedną, ale kilka całkiem odmiennych historji porozbiorowych, gdzie w jednej z nich było właśnie czarnem to, co w drugiej było białem. Tem więcej dotyczy to naszej najnowszej historji, wojennej i powojennej, gdzie zwalczające się na noże nastroje autorów z różnych obozów karmiły nas dotąd jakąś legendą — legendą bezkrytycznego entuzjazmu lub niemniej bezkrytycznej nienawiści. Obchodzono się z nami, jak z dziećmi, którym ofiaruje się na imieniny skrócone i dobrze przerobione (ach, jak przerobione!) powiastki, aby ich nie gorszyć „niestosownymi“ ustępami nawet arcydzieł naszej literatury. Dziecko ma się nauczyć z takiej książeczki tego, co — zdaniem przerabiacza — wiedzieć powinno, ale nic więcej.

A więc syntezy o nowszych i najnowszych dziejach Polski zawierały dotąd zwykle tylko wzniosłe, legendarne czyny bohaterskie lub cierpienia, a celem ich było udowodnić, że taka a taka partja polityczna miała w końcu jednak rację.

Jakgdyby dzieje nasze poprzez tysiąc, a zwłaszcza poprzez ostatnich sto lat, kierowane były ręką Opatrzności wyłącznie tylko dla dostarczenia argumentów wyborczych dla takiej lub owakiej partji, rwącej się za wszelką cenę do władzy!

„Dzieje Polski“ Michała Bobrzyńskiego noszą już w dwóch pierwszych tomach całkiem inne piętno. Czytając je, odnosi się mimowoli wrażenie, że autor, idąc niezależnie „w imię prawdy dziejowej“, kruszy przed sobą już nie piórem, ale jakgdyby toporem wszelkie legendy, uprzedzenia i nastroje, wyrąbując z pod omszałej skorupy fałszu szczerą, objektywną prawdę.

Tem większą jest zasługa autora — i tem wybitniejszym dowodem jego specjalnego talentu — że potrafił tę samą metodę wyrąbywania prawdy z pośród chaosu legend, uprzedzeń, orjentacji i ambicji, zastosować konsekwentnie i skutecznie także i do niedawno wydanego trzeciego tomu — dziejów porozbiorowych. A co najbardziej w tym ostatnim tomie uderzyć musi czytelnika, to niezrównana lapidarność sądu, sięgającego zarówno w głąb każdej sprawy i dewualującego jej sedno w sposób prosty i naturalny, jak i wznoszącego się tak wysoko ponad codzienne, aktualne nasze troski, zmagania i wysiłki, że maleją one do stosunkowo drobnych, efemerycznych zjawisk w całokształcie kreślonego przez autora obrazu.

Proszę przeczytać choćby krótki końcowy ustęp przedmowy:

„Przed państwem (wyzwolonem) stanęło jednak zaraz zadanie odparcia wschodniego najazdu i zasłonięcie przed nim całego zachodu. Jeżeli też zadanie to zwycię-

sko spełniło, to naród dowiódł tem samem, że w ciągu długiej niewoli wyleczył się z wielu wad, które go niegdyś zgubiły. Do równowagi społecznej jednak nie doszedł. Z Polski „szlacheckiej“ przerzucił się do drugiej ostateczności, Polski „ludowej“, a ta, tak samo jak tamta, na zbudowanie silnego rządu dotychczas nie umie się zdobyć. Około „naprawy Rzeczypospolitej“ obracają się znów nasze dalsze dzieje“.

Krótko i węzłowato, a jakże potężnie i lapidarnie! Jakże drobnemi, wprost karłowatemi wydają się wszystkie te kilkonastoletnie perypetje, walki i tryumfy różnych prądów politycznych, jakie przeżywaliśmy dopiero wczoraj i przeżywamy dziś jeszcze, wobec druzgocącego sądu, opartego na doświadczeniu i studjach przeszło 80-letniego uczonego i polityka, gorącego patrjoty, ale zarazem bezstronnego już z natury rzeczy obserwatora, który jednem krótkiem zdaniem ujmuje całą istotę naszej obecnej sytuacji:

„Polska ludowa, tak samo, jak dawniej Polska szlachecka, na zbudowanie silnego rządu dotychczas nie umie się zdobyć“!

Prawda, czy nie prawda? Zdaje się nam, że żaden Polak nie jest w stanie temu zaprzeczyć. Bo nie chodzi tu o chwilową dyktaturę, o chwilowe posłuszeństwo, ale o stałość silnych rządów, całym ustrojem państwa i nastrojem społeczeństwa utrwalonych i zagwarantowanych. A na takie rządy odrodzenia Polska nie mogła się istotnie dotąd zdobyć.

Idźmy dalej, nie kusząc się o osądzanie całokształtu książki (bo krytyka, to rzecz najłatwiejsza, na którą stać każdego), ale wskazując na najważniejsze, zdaniem naszem, jej ustępy, które najlepiej charakteryzują myśli i intencje autora.

W ustępie o stosunku Kościuszki do Napoleona stwierdza:

„Żądać od niego (Napoleona) zobowiązania się, że Polskę wskrzesi od morza do morza, t. j. pokona wszystkich trzech zaborców, było rzeczą w danych warunkach nierealną, a szło równolegle chyba z dawniejszą odezwą, że Polska bez obcej pomocy wybije się sama. Warunki, podyktowane przez Kościuszkę (Napoleonowi), zaciężyły jednak bardzo na polityce polskiej w dalszych latach. Kiedy ktoś obcy spieszył nam z pomocą i nas dźwigał, my nie korzystaliśmy z tego, bo nie gwarantował nam odbudowania Polski od morza do morza, a kiedy sami porywaliśmy się do powstań, błagaliśmy o obcą pomoc, tym razem bez warunków i skutku. Tak samo różne stronnictwa chciały mieć Polskę, ale tylko taką, jaka odpowiadała ich dążeniom, republikańską, demokratyczną, ludową, inaczej gotowe były jej się wyrzec".

Oto wierny obraz „krótkowzrocznego patrjotyzmu" specyficznie polskiego autoramentu, zaczerpnięty z przed przeszło stu lat, a jednak tak wiernie odbijający nasze niedawne — wojenne i powojenne — dzieje. Bo nieszczęściem jest naszem we wszystkich dziedzinach pracy publicznej, czy nawet prywatnej, że my żądamy zawsze i wszędzie niemal hipotecznych gwarancji sukcesu, nie uznając, że pierwszym warunkiem choćby częściowego osiągnięcia celu jest chcieć i umieć rzucić na szalę cały walor swego wysiłku. Rozumie to Francuz lub Niemiec na polu polityczno-militarnem, rozumie amerykański businessman na polu gospodarczem. My — naród wychowany we względnym kwietyźmie i niewoli — nie jesteśmy w stanie tego zrozumieć. Wszystko, albo nic! — oto nasze hasło na każdem polu, a i to „wszystko" musi być zgóry zabezpieczone, zagwarantowane, zaparafowane. Inaczej zakładamy ręce, wyczekując cudów lub przechodząc w stan tępej, bezkrytycznej zawiści przeciw nietylko czynnym jednostkom, ale nawet sprzyjającym warunkom.

Wie o tem doskonale każdy, kto pracuje w wyzwo-

lonej Rzeczypospolitej na jakimkolwiek posterunku. Integralność żądań i bezmyślna niechęć do każdej nowej inicjatywy — oto kwintesencja psychiki narodu, który pozatem głosi szumne pretensje do „mocarstwowego“ rozwoju!

A że nadto, co z końcowego zdania przytoczonego ustępu wynika, społeczeństwo nasze jest w gruncie rzeczy (mimo chwilowych orężnych porywów) niepatrjotyczne, gdyż różne jego warstwy i stronnictwa domagają się Polski, dostosowanej ściśle do ich programu, albo żadnej, to także szczera prawda, której świadkiem jesteśmy od lat kilkunastu. Bo wyrzekać się ojczyzny niekoniecznie można tylko słowem, ale tak samo namiętnem zwalczaniem wszystkiego, co może ją uporządkować i wzmocnić.

W uwagach o ks. Warszawskiem pisze autor:

„Nie od walk parlamentarnych, nie od przewrotów rządowych, ale od postawienia dzielnej armji, od zdrowego ducha, który wytwarzała naokół siebie, zaczęło się odrodzenie narodu“.

Oto znowu dotknięte jednem zdaniem samo sedno naszej sprawy. Państwo w położeniu takiem, jak Polska, nie może istnieć bez silnej a zdrowej duchem armji. Świstki dyplomatycznego papieru mogą być dobre, jeżeli przybite są do muru bagnetem. A zdrowym i rdzennym symbolem Polaka nie będzie jednak — ze względu na nasze geograficzne warunki — chyba nigdy kupiec lub technik, ale w pierwszym rzędzie żołnierz. W nim usymbolizowała się zdawien dawna specyficzna tężyzna narodu, nawet wówczas, gdy na wszystkich innych polach znalazła się w upadku. Wszak nowoczesną Polskę, po rozpasaniu i katastrofie XVIII-go wieku, tworzyć zaczął istotnie tylko żołnierz, najpierw w legjonach, potem w ks. Warszawskiem, potem w Królestwie kongresowem.

A później, znacznie później, olbrzymia większość społeczeństwa zapomniała o tem, że w Polsce, skoro zabły-

śnie jakakolwiek po temu możliwość, trzeba przedewszystkiem tworzyć znowu żołnierza za wszelką cenę i we wszelkich warunkach. Zaczęto grymasić, żądać gwarancji i obcej pomocy. I dlatego też z dawnej Polski mamy dziś tylko tyle, na ileśmy zasłużyli i co nam ślepy powojenny użyczył przypadek. Nie wolno nam więc odtąd ani na chwilę zapominać, że Polska tyle jest i będzie warta, ile wart będzie jej żołnierz, nietylko materjalnie, ale i moralnie! Reszta, przemysł, handel, rolnictwo i technika, to ważne, nieodzowne, ale bądź co bądź tylko dodatki.

A dalej niezmiernie doniosły poruszony jest problem, który wije się przez cały niemal ciąg dalszy tomu, znowu lapidarnie ujęty, a tak charakterystyczny pod piórem historyka-konserwatysty:

„Poddaństwo ludu wiejskiego, nie uchylone przed upadkiem polskiego państwa, stawało kamieniem na drodze, wiodącej do jego wskrzeszenia".

Do tej sprawy, jakgdyby do osi całych naszych dziejów i klęsk porozbiorowych, powrócimy nieco dalej za autorem. Tymczasem cytujemy co innego:

„Los śmiertelnego boju leżał może w rękach narodu, który dwa razy potem zrywał się do bezowocnych walk, oczekując francuskiej pomocy. Teraz (1813) Napoleon z nową armją stał u jego granic w Saksonji i oczekiwał od Polaków, że na tyłach wojska rosyjskiego podniosą powstanie. Kiedyż dla polskiego powstania przyjaźniejsze istniały widoki? Kiedyż własnemi siłami łatwiej mogli zdobyć niepodległość? Ale na taki poryw mógł się zdobyć tylko naród, który wszystkie swoje siły w j e d n y m k i e r u n k u zdolen był skupić i rzucić na szalę swojego losu. Nie dojrzał do tego, wydobywając się powoli z upadku, naród polski, podzielony na dwie orjentacje, zniechęcony zbyt prędko do dalszej wojny".

Mówią, że historja powraca falami. Czyż epizod powyższy, tak charakterystyczny dla mentalności polskiej, nie powtórzył się mutatis mutandis w sto lat później? Czyż naród polski, który po klęskach rozbiorów nie dojrzał w 1813 r. do skupienia wszystkich swoich sił w jednym kierunku, ale podzielił się na dwie orjentacje i zniechęcił do dalszej skutecznej walki — dojrzał do tego jednokierunkowego wysiłku w 1914 r.? Czy nie rozdzielił się znowu na dwie orjentacje, czy nie zniechęcił się w swej znacznej większości — i to od samego początku — do walki, oczekując, aż mu „Francuzi“ ofiarują za darmo Polskę „od morza do morza“?

Ach, jakże wiele jeszcze uczyć się musimy, aby z uczuciowego, kapryśnego społeczeństwa stać się naprawdę zdolnym do trwałej egzystencji państwowej — narodem! Bo naród politycznie dojrzały posiada przedewszystkiem zdolność wyzyskiwania korzystnych okazji!

„Konstytucja (Królestwa Kongresowego)... potwierdziła zasadę... że grunta włościańskie są własnością ich panów... W ten sposób nasi najpoważniejsi podówczas politycy w interesie jednego stanu skrzywdzili ustrój administracyjny, podyktowany Księstwu Warszawskiemu przez twórcę administracji nowożytnej. Królestwo cofało się wstecz, kiedy sąsiednie Prusy zrozumiały całą wartość tego ustroju i przekształcały całą swoją organizację społeczną i polityczną, budując na niej przyszłą swoją potęgę“.

Oto znowu jedna z podstawowych prawd dziejowych, bardzo znamienna w ujęciu przez historyka-konserwatystę. Niezrozumienie przed stu laty konieczności sprawiedliwej reformy rolnej wyłączyło istotnie chłopa polskiego — bez porównania najliczniejszą warstwę narodu — od współdziałania obywatelskiego w wysiłkach niepodległościowych, usposobiło go zgóry wrogo względem wszystkich „warstw posiadających“, a zwłaszcza wobec ziemian i pociągnęło za

sobą w ustroju odrodzonego już państwa ustawodawstwo eksterminacyjne względem większej i średniej własności ziemskiej.

„Znakomity prawnik, poseł na sejm czteroletni, późniejszy twórca Liceum Krzemienieckiego, Tadeusz Czacki, w przedmowie do swojego dzieła „O litewskich i polskich prawach“, wydanego w r. 1800, dowiódł, jak jasno zapatruje się na przeszłość narodu. Wykazując przyczynę upadku w braku silnego rządu, wyjaśniał wszystkie chwile z przeszłości, w których zbudowanie silnego rządu było możebne i winił królów, że w drodze zamachu stanu tego nie dokonali“.

Krótki ten ustęp, pozornie dziwny pod piórem takiego legalisty, jakim jest Michał Bobrzyński, dotyka pewnego, najbardziej zasadniczego problemu zarówno dziejowego, jak prawnego, jak i wreszcie zachowawczego.

W zasadzie bowiem są konserwatyści — i muszą być — zdecydowanymi przeciwnikami wszelkiego nielegalnego lub pozalegalnego postępowania. Inaczej bowiem nie mogliby być obrońcami państwowego ładu i porządku. Ale niema, jak wszędzie, reguły bez wyjątków — a taki wyjątek tu właśnie stanowczo zachodzi.

Jeżeli demagogja czy anarchja w państwie, kierowana bezmyślnem, rozwichrzonem szlachtowładztwem czy ludowładztwem, zbudowała państwu ustrój polityczny i gospodarczy wyraźnie zabójczy, to niema oczywiście żadnej nadziei, aby naprawa takiego ustroju mogła nastąpić w drodze legalnej. Jeżeli tłum dawnej szlachty, reprezentującej bądź co bądź jednak pewną elitę ówczesnego społeczeństwa, nie okazał się zdolnym do samozaparcia się i przeprowadzenia legalnie naprawy ustroju, to tem mniej można uwierzyć, aby dzisiaj 30 miljonów polskiego ludu zechciało i wogóle mogło w sposób legalny, ściśle konstytucyjny, zmienić lub zwalić cały ten stek zabójczych swych „zdo-

byczy", jakiemi obdarzyła go siedmioletnia anarchizująca sejmokracja i racjonalną naprawę ustroju państwa formalnie i legalnie przeprowadzić.

Takie mniemanie byłoby oczywistą utopją. Było nią w dawnych czasach i jest nią jeszcze bardziej w obecnych warunkach demokratycznych. I dlatego z tą myślą każdy konserwatysta, każdy spokojnie rozumujący obywatel i realny polityk musi się pogodzić, czy chce czy nie chce, czy mu to miło, czy nie miło: N a p r a w a u s t r o j u p a ń s t w a j e s t d z i s i a j b e z z a m a c h u s t a n u n i e m o ż l i w a. Widzimy to zresztą nietylko w Polsce, ale i we wszystkich innych państwach Europy, które w ostatniem dziesięcioleciu zmuszone były wkroczyć na drogę naprawy stosunków.

Tę pozornie rewolucyjną, ale niemniej nieuchronną konieczność miał niewątpliwie na myśli autor „Dziejów Polski", cytując powyższą opinję Czackiego. I w tym krótkim ustępie zawarte jest zarazem odważne, ale i realne uzasadnienie tego pozornie dziwnego paradoksu, że wszystkie naprawdę umiarkowane żywioły w Polsce stanęły — ewentualnie po krótkiem wahaniu — po stronie majowego zamachu stanu, przyjmując i w dalszym ciągu współodpowiedzialność na siebie za dalsze jego konsekwencje. Bo każdy realnie myślący człowiek przyznać musi, że lud polski, demokracja polska, uosobiona w całej skali naszych stronnictw sejmowładczych, naprawy stosunków politycznych, społecznych i gospodarczych w państwie, które dla własnej korzyści wytworzyła, nigdy nie będzie w stanie legalnie, przez sejm sześcioprzymiotnikowy, sama dokonać.

Więc albo dalszy upadek państwa w samobójczym, bolszewizującym legaliźmie, albo przeprowadzenie jakiejkolwiek naprawy stosunków siłą. Jak kto chce, niech wybiera!

Jest to zresztą ten sam problem, który i w obecnej literaturze zagranicznej, świadomej zabójczych skutków demagogicznego legalizmu, wyraził się w słynnej maksymie:

Le droit contre la loi. W walce z Prawem Boskiem i „naturalnem“ demagogiczna ustawa pisana musi przegrać, jeżeli państwo chce istnieć!

„Taki już nieszczęsny los ścigał włościan, że nawet ten postęp, który się dokonywał w rolnictwie, stał się powodem dalszego ich uciemiężenia. W uprawie roślin okopowych i pastewnych folwarki szlacheckie ujrzały nowe źródło dochodu, ale osiągnięcie tego dochodu wymagało zwiększonej robocizny i zwiększonego obszaru uprawnego gruntu. Jedno i drugie dało się osiągnąć kosztem włościan. Dokonywała tego t. zw. regulacja, przedsiębrana na szeroką skalę. Pod grozą wyrugowania z czasowej dzierżawy (która była wówczas podstawą prawną bytu włościan, przyp. Red.) odbierano włościanom grunta najlepsze, zaokrąglając nimi folwarki, a włościan przenoszono na grunta dalsze, zazwyczaj puste lub wymierzano im gruntu mniej, niż posiadali dotychczas, zatrzymując jednak dotychczasowy wymiar pańszczyzny. Ludność mnożyła się, przybywało osadników, ale osady ich zmniejszały się do kilkunastu morgów. Utrzymać się z nich mogli głównie wskutek rozszerzonej uprawy ziemniaków. Mnożył się też małorolny proletarjat, który utrzymywał się z najmu na gruntach folwarcznych za niską zapłatą. Licha była przymusowa praca tak, że właściciele folwarków, pragnący lepiej gospodarować, zaczęli już osobną czeladź dworską przyjmować. Przeciw „regulacjom“ nie służył włościanom żaden środek, skoro, utraciwszy wszelkie prawo do gruntu, zdani byli na czasowe dzierżawy“.

Kreśląc w ten sposób kształtowanie się warunków bytu włościan w Królestwie Kongresowem, odsłania autor podstawy i przyczyny dalszego kształtowania się sprawy agrarnej w Polsce wogóle. Stwierdza tem samem, że jedną z walnych — zapewne nie wyłącznych — przyczyn tego rozdwojenia między dworem a chatą, którego skutki

opóźniły narodowe uświadomienie i uobywatelnienie chłopa, a tak dotkliwie odbiły się na wewnętrznym ustroju politycznym i gospodarczym wskrzeszonej Polski, był właśnie niezmiernie krótkowzroczny egoizm klasowy warstwy ziemiańskiej, która i dziś jeszcze wielokrotnie traktuje wszelkie sprawy publiczne i chce kształtować najżywotniejsze zagadnienia wewnętrznej i zewnętrznej polityki państwowej przedewszystkiem z wąskiego punktu widzenia własnych folwarków. Stąd pochodzi stopniowy a nieuchronny upadek ziemiaństwa, jako samodzielnego czynnika politycznego, w ciągu 19-go i 20-go wieku. O ile rząd w danej konjunkturze chwilowo nie pomoże, liczna, wielotysięczna warstwa ziemiańska nie jest już w stanie wpływać ani na losy kraju, ani nawet na własne. I nie może być inaczej, skoro platforma folwarcznego podwórza nie otwiera oczywiście szerszych horyzontów polityczno-gospodarczych. Zdaje się dzisiejszym ziemianom, że byle tylko uprawiali swą rolę i uzyskiwali pomoc kredytową rządu czy banków prywatnych, to już obowiązek ich spełniony i sprawa załatwiona.

Otóż niestety — ani obowiązek ich na tem się nie kończy, ani ich sprawa się nie załatwia, chyba w kierunku ujemnym. Tego wielu zrozumieć nie może i stąd o losie ziemiaństwa, a z nim i o losie rolnictwa wogóle, decydują inni. Początki tego stanu rzeczy kreśli autor w jednym z następnych ustępów:

„Miał Lubecki zrozumienie potrzeb rolnictwa i zdziałał dla niego wiele, otwierając mu dostęp do morza i tworząc dla niego Towarzystwo Ziemskie Kredytowe, ale wszystko to dla właścicieli dóbr, nie zaś dla chłopa, w którym widział tylko narzędzie większego gospodarstwa. Umysł jego, tak praktyczny, nie doszedł do pojęcia, że ucisk i wyzysk ludu nietylko osłabia jego pracę, ale także demoralizuje jego panów. Spuszczając się na to, że gospodarstwo, oparte na pańszczyźnie, samo się utrzymuje,

właściciele dóbr nie byli zmuszeni wstąpić na drogę ulepszania go i nakładów, nie podjęli sami pracy około roli. Próby założenia towarzystw rolniczych nie powiodły się, bo nie było prawdziwych rolników“.

Niechże najzaciętsi nawet przeciwnicy konserwatysty Bobrzyńskiego, ośmielą się po przeczytaniu tych słów jeszcze twierdzić, że dzieło jego jest płodem „wstecznictwa i obskurantyzmu“! Wszak żaden z naszych pisarzy radykalnych, mówiąc o sprawie włościańskiej, nie skreślił w tak głęboki, bezstronny a lapidarny sposób właściwej przyczyny z jednej strony niedoli ludu wiejskiego, z drugiej stopniowego społeczno-politycznego upadku sfery ziemiańskiej!

Dalej znowu porusza autor inną sprawę, niemniej doniosłą i dziś jeszcze piekącą. Wogóle bowiem „Dzieje“ Bobrzyńskiego mają to do siebie, że kreśląc dawną historję, wykazują jej analogję z dzisiejszą, tak dalece, że czytając poszczególne ustępy, dowolnie wybrane, ma się w pierwszej chwili wrażenie, że odnoszą się do obecnych, nie zaś jakichś dawnych stosunków.

„Nie było błędniejszego twierdzenia, niż to, że autonomja narodowa samego Królestwa (w czasach przed powstaniem 1863 r., przyp. Red.) mieści w sobie poświęcenie prowincji zabranych. Wręcz przeciwnie, prowadziła do podźwignięcia w nich żywiołu polskiego, bo rząd rosyjski, godząc się na polskość Królestwa, nie mógł prowadzić dalej polityki wynaradawiania w prowincjach zabranych i sam Wielopolski w pertraktacjach swych z rządem rosyjskim za udzieleniem im pewnych swobód przemawiał. Zamoyski (Andrzej)... nie widział, czy nie chciał widzieć, że tak, jak rzeczy stanęły, tylko stanowcze poparcie polityki Wielopolskiego mogło odwrócić powstanie... Nie widziało tego i grono kierujących krakowskim „Czasem“, zrażone do Wielopolskiego, z którym niegdyś bliski łączył

je stosunek. Sprawa się rozstrzygnęła, gdy Zamoyski, wezwany do cara, powtórzył mu swój warunek (złączenia wszystkich prowincji dawnej Polski w autonomiczną całość pod berłem cara, przyp. Red.) i otrzymał polecenie wyjazdu zagranicę. Cofnął się przed odpowiedzialnością wobec opinji współczesnej. Nie uniknął odpowiedzialności przed historją narodu, która podobnie samobójczego postąpienia w rocznikach swoich nie zapisała. Na nim i na całej warstwie ziemiańskiej, której przewodził, okazało się aż nazbyt jawnie, że odsunięta od trzydziestu lat od publicznego życia, utraciła świadomość jego dróg i środków, energję działania i odwagę czynu".

Ustęp ten nie potrzebuje komentarzy. Szlachta polska, wystawiona zbiegiem okoliczności na próbę w epoce Wielopolskiego, na próbę wykazania swej zdolności państwowo-twórczej, próby tej nie wytrzymała. Przepadła w egzaminie. I dlatego nie pomogą późniejsze jej zbrojne porywy z motyką na słońce, bohaterskie nieraz ofiary i antyszambrowanie po obcych dworach na rzecz powstania styczniowego.

„Podnosząc... znaczenie pracy organicznej i otwierając jej widoki na podbój gospodarczy Rosji, uległ Świętochowski złudnej wierze w sojusz z postępowymi żywiołami Rosji, a wojując z klerykalizmem i z tradycją szlachecką, schodził jeszcze więcej z gruntu polityki pozytywnej narodu, który w Kościele katolickim i w tradycji swojej dziejowej miał żywe źródło swego oparcia i siły. Sam postęp, chociaż najwydatniejszy, nie mógł ich zastąpić, bo tylko na ich tle mógł się korzystnie rozwinąć".

Oto pierwsze początki narodowej demokracji w jej embrjonalnej formie radykalnej i antyreligijnej. Bo na tej

platformie czerwonego radykalizmu poczęła się endecja i dopiero później, właściwie dopiero w bieżącym wieku, przeszła ze względów czysto utylitarnych do roli obrońcy ziemiaństwa i katolicyzmu, arogując sobie nawet zabawny monopol w tym względzie. Ale należy dobrze pamiętać, że kilkadziesiąt lat temu był to obóz bojowo-radykalny, o silnym podkładzie liberalizmu i niemal ateizmu, szukający kontaktu z radykalnymi żywiołami Rosji. Tego kontaktu z Rosją nigdy potem nie przerwał, przenosząc tylko swe sympatje z radykałów rosyjskich na rząd carski, w którym dopatrywał się przez lat dwadzieścia jedynego zbawcy ziem etnograficznie polskich. Ten dziwny sentyment prorosyjski okazuje narodowa demokracja po dzień dzisiejszy, protestując z zasady przeciw wszelkim naszym wystąpieniom antysowieckim i kierując swe rachuby na przyszły gdzieś kiedyś sojusz, czy nawet unję z „bratnim, demokratycznym narodem słowiańskim“, jako przedmurzem w walce z germanizmem!?

„Kiedy pozytywiści warszawscy, przerażeni skutkami ostatniego powstania, odwracali się od tradycji historycznej i kościelnej narodu i chwilowe tylko mogli odnieść sukcesy, politycy krakowscy szukali ratunku w lepszem zrozumieniu historji narodu i w głębszem przejęciu się nauką Kościoła katolickiego i d l a t e g o w s p o ł e c z e ń s t w i e p o l s k i e m o s t a t e c z n i e w y g r a l i“.

W związku z poprzedniem, podkreśla autor zrozumienie polityków i historyków konserwatywnej szkoły krakowskiej — od samego jej początku — dla wyświetlenia prawdy historycznej i oparcia na niej realnych wysiłków odrodzenia narodu w każdym kierunku, a zwłaszcza ich zrozumienie dla idei Kościoła katolickiego. I dodaje: „...dlatego w społeczeństwie polskiem ostatecznie wygrali“.

Tak, wygrali — wygrali mimo całej niepopularności,

jaka spotyka zawsze ludzi wybitnych, mówiących prawdę, a nie schlebiających gorszym instynktom mas. Stańczycy krakowscy zaczęli działać i pisać w imię tej prawdy, przeciwstawili się polityce bezowocnych spisków i porywów, zalecili metodę historycznego rachunku sumienia i organicznej pracy, ale opartej nie na geszefciarskim, bezdusznym pozytywiźmie, jaki wyznawali w tym czasie „organicznicy" w Kongresówce, lecz na zasadach wiary i Kościoła.

Zwyciężyli — bo niemasz już dzisiaj człowieka w Polsce, któryby nie przyznawał, że dawna Rzeczpospolita upadła wskutek własnych błędów i anarchji, której tylko naturalnem następstwem były rozbiory. Zwyciężyli także podnosząc wysoko sztandar katolicyzmu, jako moralnie i politycznie głównej podpory narodu polskiego i ograniczając tem samem wpływ prądów liberalnych, materjalistycznych i wywrotowych, które na rozpaczy pognębionego politycznie narodu łatwy żer znajdywać zaczęły. Zorjentowała się w tem ostatniem dopiero znacznie później narodowa demokracja i chcąc dobrać się do duszy chłopa i do duszy i kieszeni ziemianina, wystawiła na gwałt jaskrawe, krzykliwe szyldy skrajnego nacjonalizmu i nietolerancyjnego katolicyzmu, o czem poprzednio temu radykalnemu stronnictwu nawet się nie śniło. Chciało poprostu przelicytować konserwatystów krakowskich, jak obecnie gotowe jest przelicytować we wszystkiem każdego przeciwnika — każdego, bez wyjątku!

„Naród polski zachowaniem się swojem wobec wojny tureckiej zdał egzamin ze swojego otrzeźwienia. Porzucając politykę, obliczoną na zamiary, poszedł za polityką, obliczoną na siły, t. j. zastosowaną do danych warunków. Gdy jednak te warunki w każdym z trzech zaborów były inne, wyniknęła stąd konieczność, że polityka polska w każdym z nich chwytać się musiała innych dróg i środków. Oburzali się na to ci, którzy w polityce nie umieli się wznieść ponad spisek lub deklamację patrjotyczną, piętnowali to

mianem trójlojalizmu, ale nie wywarli tem wrażenia, nie zawrócili narodu z drogi, na którą wszedł, ażeby po najcięższych doświadczeniach i próbach życie swoje ratować. Nie obeszło się i teraz bez adresów wiernopoddańczych, ale miały inne, niż przedtem znaczenie. Tamte były objawem upadku ducha i uczucia niemocy, te były środkiem zdobycia sobie warunków narodowej pracy *). Nigdy poczucie jedności narodowej nie było większe, jak w czasie, kiedy polityką pracy organicznej naród zwiększał swoje siły, owoce jej między dzielnicami wymieniał, a stanowisko swoje kulturalne w świecie, jak nigdy przedtem, uwydatniał".

W inny tu autor z kolei ton uderza, odsłaniając pewien fakt niezmiernej doniosłości i dla obecnych naszych dziejów. Wykazuje mianowicie stopniowe polityczne dojrzewanie szerokich sfer społeczeństwa polskiego pod zewnętrzną hałaśliwą powłoką walk partyjnych. Zdrowy instynkt narodu, zahartowany smutnemi doświadczeniami anarchicznej i warcholskiej przeszłości, zaczyna opancerzać się przeciw partjom i orjentacjom i zajmować, ogółem biorąc, rozumne stanowisko wobec ważnych faktów i momentów. To samo stało się i później, w odrodzonej ojczyźnie, gdzie mimo wszelkich pokus i nacisku ze strony żywiołów wywrotowych, popieranych wydatnie przez Rosję i Niemcy, a w niemałym stopniu też i przez radykalne partje sejmowładcze, społeczeństwo polskie oparło się jednak tym wszystkim zakusom, nie poszło na lep bolszewizującej rewolucji i — nawet przy braku rozumnych, silnych rządów — zabrało się samorzutnie do materjalnej odbudowy wskrzeszonego państwa, budząc tem podziw zagranicy. Nie mogło uniknąć złej Konstytucji i różnych absurdalnych ustaw i rozporządzeń, gdyż te nie od niego pochodziły, ale

*) „Przy Tobie, Najjaśniejszy Panie, stoimy i stać chcemy!" (Przyp. Red.).

od różnych klik rządzących i sejmowładczych. To jednak, że Polska stoi, jak stoi i że charakter jej twórczy i religijny odpiera wszelkie radykalne prądy i zakusy, jest niewątpliwie zasługą owego zdrowego instynktu szerokich warstw narodu, którego jeden z pierwszych wybitnych objawów sygnalizuje Bobrzyński w przytoczonym ustępie.

„Przeciw szlachcie i zamożnemu mieszczaństwu budzili lud wiejski w Królestwie Bohusz i Popławski, którzy, oddzielając się od pozytywistów w r. 1886, założyli „Głos“ i dowodzili, że interesom ludu poświęcić należy interes innych warstw narodu, bo przyszłość jest w ludzie, najzdrowszej warstwie społecznej. Chętnie na oskarżanie szlachty i jej tradycji pozwalała rosyjska cenzura...“.

W dalszym ciągu stwierdza tu autor rozwój i charakter działania narodowej demokracji, aczkolwiek stronnictwo to wówczas jeszcze tej firmy nie nosiło. Rozbudzanie walki klasowej, przewracanie w głowie maluczkim, buntowanie ich przeciw kulturalniejszym sferom społeczeństwa, gnębienie w czambuł tradycji narodowej i stwarzanie jakiejś proletarjackiej, radykalnej republiki, to wszystko przy cichem a „chętnem“ współdziałaniu władz rosyjskich — oto prawdziwa, pozbawiona frazeologicznych obsłonek rola młodej endecji, którą chełpią się dzisiaj jej epigonowie, tłomacząc naiwnym, że endecja była pierwszem w Polsce stronnictwem, które „pracowało wśród ludu i dla ludu“.
Fałsz i kłamstwo! Pracowało wśród ludu dla skaptowania go dla siebie, buntując go przeciw wszelkim wyższym warstwom społecznym, tradycji, a częstokroć i religji. Torowało drogę socjalistom, a zwłaszcza późniejszym radykalnym partjom chłopskim. Jedyną też trwałą pozostałością tej ówczesnej endeckiej roboty na wsi jest hasło: Na dwory! Hasło, o którem chłopu polskiemu, poza wyjątkowymi wypadkami perfidnej ingerencji urzędników austrjackich lub rosyjskich, wcale się nie śniło.

Oczywiście, że ciężko zawinił w tem krótkowzroczny egoizm szlachecki, który autor w poprzednio wymienionem miejscu ostro piętnuje. Niemniej jednak faktem jest, że pierwszym propagatorem radykalizmu społecznego na wsi polskiej, zwłaszcza w Kongresówce, był narodowy demokrata.

A dalej:

„Dmowski, Popławski i Balicki założyli w r. 1895 miesięcznik „Przegląd wszechpolski“ i męczyli się z nim nad wytworzeniem swojej doktryny, narodowo-demokratycznej... Działali głównie między ludnością wiejską, wydając dla niej w Galicji osobne pisemko „Polak“, które przemycali przez granicę. Wystąpili z teorją, że w polityce narodu rozstrzygać powinien tylko egoizm narodowy, nie zaś jakieś etyczne zasady. Na polityce egoizmu wyrosły Prusy, tylko na niej wskrzesić się może Polska. Zrywali w ten sposób z całą polityką narodu polskiego, który szczycił się tem, że szanując prawa sąsiednich narodów, unję z nimi przeprowadzał i potęgę swoją gruntował... Politykę siły przed prawem mógł prowadzić tylko ten, kto miał siłę, a więc potężne państwa, Niemcy i Rosja i gnieść bezkarnie ludy, wciągnięte do ich granic, ale polityka taka, prowadzona przez naród słaby i podbity, wobec mniejszości narodowych, mieszkających wśród niego, Rusinów czy Żydów, nie mogła się żadną miarą powieść i musiała na naród polski sprowadzić tylko klęski i niesławę“.

Ustęp ten powinien wszystkim, należycie nieuświadomionym, raz na zawsze wyjaśnić całą głębię moralnej i etycznej przepaści, jaka dzieli nas, konserwatystów, od ideologji endeckiej. Nietyle bowiem dzielą nas różne dorywcze walki polityczne i różnice „orjentacji“, które —

jako przejściowe — nie stanowiłyby jeszcze nieprzebytej przeszkody. Dzielą nas natomiast właśnie wyżej wymienione podstawowe zasady endeckiej doktryny — zasady niemoralne, niechrześcijańskie, a praktycznie identyczne z ideologją pruskiej zaborczości, której — w paradoksalnym kontraście — taktyka dziennikarska narodowej demokracji stara się przeciwstawić, oddając Polskę w tym celu raz po raz pod skrzydła opiekuńcze Rosji!!

Niech nam więc nie prawią naiwni o możliwości i konieczności porozumienia z „jedynem stronnictwem demokratycznem w Polsce, które stoi po stronie obrony stanu posiadania i religji". Absolutnie w to nie wierzymy, uważamy to — nie bez faktycznych dowodów — za chwilowy manewr tego nawskroś radykalnego stronnictwa i o żadnych między nami porozumieniach, a nawet zbliżeniach mowy być nie może.

Przeciwnie — na podstawie historji ostatnich kilkudziesięciu lat twierdzimy stanowczo, że ten tylko będzie mógł rządzić Polską naprawdę rozumnie i celowo, kto wpierw zgniecie półwiekową już niestety konspirację narodowej demokracji, uniemożliwiającą faktycznie każdy wysiłek naprawy stosunków w państwie i społeczeństwie!

Transplantowanie zaś nacjonalizmu endeckiego z obcych wzorów na grunt polski formułuje autor następującem zdaniem:

„Nacjonalizm polski, wzorowany wprost na niemieckim i rosyjskim, przywieziony przez narodową demokrację z Berlina i Petersburga, a wywieszony przez nią w Polsce jako hasło w życiu politycznem i społecznem polskiem, przemawiał do umysłów młodzieży, a liczna rzesza urzęd-

ników Polaków w Galicji, mianowicie sądowych, zagrożona konkurencją Ukraińców, widziała w nim swego obrońcę".

„Stanowisko, które wobec najszerszych warstw zajęła literatura (ostatniej doby przedwojennej, przyp. Red.), podyktowane było myślą humanitarną, głębokiem współczuciem dla nędzy i krzywdy ludzkiej, gdziekolwiek istniała, w kraju, czy na obczyźnie... Biorąc w obronę lud roboczy, pozbawiony opieki prawa w Królestwie i będący ofiarą wyzysku fabrykantów, piszący wierszem i prozą nie zdawali sobie zrazu sprawy z walki społecznej, jaka się na tem tle rozwinie. Rewolucja z 1905 roku zmusiła ich do zajęcia wobec niej stanowiska. Nie przyszło im to łatwo. Wszak w rewolucji tej starły się ze sobą sprzeczne kierunki, które miotały społeczeństwem polskiem, i trudno było autorowi powieści wznieść się krytycznie ponad tę walkę i w całej grozie ją przedstawić. W obozie, który dał hasło do boju, czynnik socjalistyczny splątał się tak dalece z hasłem niepodległościowem, że z hybrydyzmu takiego trudno było wykroić bohatera powieści, tem trudniej, że cała walka skończyła się beznadziejną anarchją. Dlatego autorowie, piszący powieści na tle tych smutnych przejść, chwiali się pomiędzy kierunkami, nie znajdowali z nich wyjścia i ograniczali się do luźnych obrazów, zarówno Żeromski, jak Strug i Daniłowski, a podnosili w nich poświęcenie jednostek, rzucających się w wir walki. Natomiast Prus w „Dzieciach" zwrócił uwagę na wynaradawiający charakter ruchu rewolucyjnego, a Sienkiewicz potępił go w „Wirach". Roli, jaką odegrać mieli ludowcy i socjaliści w przyszłej Polsce, najbujniejsza wyobraźnia poetów nie przewidziała".

Czytając ten ustęp, wnikający tak głęboko w problem spóźnionego uświadomienia literatury i inteligencji polskiej o nowoczesnych prądach i dążeniach, które od dołu nurtować zaczęły szerokie masy ludowe z końcem XIX wieku,

odnosi czytelnik wrażenie, że słów tych chyba nie pisał konserwatysta! Tak odmienne występują tu poglądy i spostrzeżenia od tych, jakie zwykliśmy wyczytywać w szablonowej prasie i literaturze zachowawczej.

A jednak pisze to konserwatysta i to jeden ze współtwórców starej krakowskiej szkoły „Stańczyków“! A pisze tak właśnie dlatego, że jest jednym z twórców tej szkoły, w zasadach bezkompromisowo-zachowawczej, ale zarazem ściśle objektywnej, krytycznej i właśnie dlatego sprawiedliwie postępowej.

Młoda nasza literatura partyjno-polityczna, nastrojona ślepo w myśl pewnych doktryn i nakazów, nie zna tak bezstronnego, objektywnego sposobu pisania. Tak ujmować wypadki potrafi już tylko człowiek, wyszkolony w „stańczykowskim“ sposobie myślenia i pisania. Dlatego też różne prawdy w książce Bobrzyńskiego kłuć muszą w oczy nietylko rozwichrzonych demokratów, ale i jednostronnie nastawionych konserwatystów. Nie zważają na żadne chwilowe prądy czy konjunktury, ale głoszą dojrzały wyrok historji: tak było, a nie inaczej!

Z ustępu tego wynika, że inteligencja polska i literatura z ostatnich dziesięcioleci przed wojną światową nie zrozumiała całej doniosłości kwestji socjalnej, nie wzięła udziału w realnem nią pokierowaniu, ale dozwoliła biernie rozróść się jej i wyolbrzymieć w szkodliwych dla kraju rozmiarach i kierunkach. Nie zrozumiała również istoty i konieczności dziejowej ruchu niepodległościowego i nie przewidziała z przebiegu europejskich konjunktur, że z początkiem bieżącego stulecia wybiła dla niego, mimo pozornie kwietystycznych stosunków „zbrojnego pokoju“, odpowiednia godzina.

I obie te wielkie pomyłki czynników umiarkowanych, „posiadających“, w kraju sprowadziły w rezultacie te wszystkie szkodliwe perypetje i niedomagania, jakie od chwili odzyskania niepodległości tamują dotkliwie zdrowy rozwój państwa.

O decydującym momencie w przededniu wojny światowej pisze autor:

„...przed narodem polskim stanęło pytanie, po której stronie, Austro-Węgier, czy też Rosji, w boju tym wystąpi? Pytanie wydawało się zgóry przesądzone, bo cała przeszłość narodu kierowała go przeciw Rosji, a swobody narodowe, udzielone Galicji przez Austrję, zapewniały jej wdzięczność Polaków i sympatję. A jednak pytanie takie się otwarło. Kilka przyczyn złożyło się na to... urok potęgi Rosji... odradzającej się wskutek konstytucji i podnoszącej dążenia swe nacjonalistyczne z poparciem całego narodu. Dalej widok korzyści materjalnych, które związek z Rosją przemysłowi i handlowi polskiemu zapewniał. Na koniec wpływ szkoły i literatury rosyjskiej na umysły pokolenia polskiego, które się na nich kształciło.

„Wszystko to, razem wzięte, sprawiło, że w społeczeństwie polskiem w zaborze rosyjskim dokonał się zwrot w stosunku do Rosji. Torowała mu drogę polityka ugodowa, którą posłowie polscy rozwinęli w Dumie rosyjskiej, stając na gruncie państwowości rosyjskiej, ale ta polityka mogła wydawać się tylko taktyczną dla uzyskania pewnej autonomji Królestwa. Sięgała jednak dalej, gdy prezes Koła i przywódca narodowych demokratów, Roman Dmowski, w książce, wydanej w r. 1908, p. t. „Niemcy, Rosja i my", uzasadnił szeroko, że zadaniem jest Polski stawać jako przedmurze Rosji przeciw Niemcom... Nie przekonał tem Dmowski Rosji, która na wypadek wojny chciała mieć Polskę zdeptaną i osłabioną i wytężyła ku temu wszystkie swoje siły tak, że wszystkie stronnictwa Dumy prześcigały się w tem z rządem...

„W nagrodę lojalnego zachowania się mieli Polacy otrzymać samorząd, nie gubernjalny, jaki posiadała Rosja, lecz jedynie miejski i projekt taki rząd przygotował... za-

pewniając językowi rosyjskiemu szerokie prawa w urzędowaniu, ograniczając radę miejską we wpływie na szkołę i przyznając władzom rządowym szeroki wpływ i kontrolę. Duma nietylko wpływ ten rozszerzyła, ale w wewnętrznem urzędowaniu władz miejskich zaprowadziła język rosyjski, dozwalając na używanie współrzędnie polskiego. I to jednak nie podobało się Radzie Państwa, która język polski usunęła zupełnie z akt i obrad. Projekt, który miał być ustępstwem dla Polaków, zamienił się na jeden z najgorszych ciosów.

„Upaństwowienie kolei żelaznej warszawsko-wiedeńskiej... usunęło z niej wszystkich Polaków. Usunięto ich także z sądownictwa. Obostrzono cenzurę... Używanie języka polskiego w miejscach publicznych uległo na nowo policyjnym zakazom. Ograniczając liczbę posłów polskich z Królestwa do trzeciej Dumy, zmieniono ordynację wyborczą w guberniach zabranych w ten sposób, że z nich nie wszedł już do Dumy żaden Polak...

„Wszystkie te ciosy, spadające na polskość, nie zdołały przecież odwrócić wielkiej większości społeczeństwa polskiego w zaborze rosyjskim od położenia wszystkich swoich nadziei w związku z Rosją... miano nadzieję, że okazanie gorącego rosyjskiego patrjotyzmu przekona najbardziej wrogie Polakom czynniki. Poszli za tem ziemianie... szedł także ogół włościański. Zacietrzewienie w polityce tej szło tak daleko, że w najczarniejszych kolorach przedstawiano stan Galicji w czasie, w którym kultura polska, tępiona w dwuch innych zaborach, rozwijała się w niej i podtrzymywała dla całego narodu. Ci, którzy bez wzajemności rzucali się w objęcia Rosji, piętnowali mianem serwilizmu politykę ugodową galicyjską, a lubowali się w oskarżaniu jej o korupcję. Brukowy warszawski patrjotyzm odgry-

wał w tem wielką rolę, a wyrazem jego był przedewszystkiem Dmowski'.

Sytuacja, tak jasno przedstawiona, nie wymaga komentarzy. Z tego krótkiego rzutu oka na rozwój stosunków polsko-rosyjskich w ostatniej dobie przedwojennej wynika dla nas niezbicie jedna przedewszystkiem praktyczna wskazówka: że mianowicie naród rosyjski, wbrew romantycznym zapewnieniom różnych pisarzy czy polityków moskalofilskich, nienawidzi nas bardziej, niż autokratyczne rządy w Rosji. Te bowiem jeszcze jako tako nami żonglowały, modyfikując raz poraz swój system ulg i ucisku według różnych kombinacji swych dyplomatycznych. Natomiast dojrzewający do Konstytucji i samopoczucia naród rosyjski wykazał praktycznie niewątpliwą żądzę eksterminacyjną względem Polaków.

Stąd wniosek, którego nikt trzeźwo myślący nie jest w stanie obalić, że źle nam jest wprawdzie i dzisiaj mieć do czynienia z państwem rosyjskiem, autokratycznie tak czy inaczej rządzonem — ale biada nam, gdyby kiedykolwiek sam naród rosyjski przyszedł istotnie do władzy i na gruzach caratu i bolszewizmu zbudował sobie umiarkowaną republikę czy konstytucyjną monarchję, zyskując tem samem sympatje polityczne i gospodarcze całego świata! O tej perspektywie zwłaszcza nasz „brukowy warszawski patrjotyzm", o którym autor wspomina, powinien zawsze pamiętać.

„...z chwilą usunięcia się okupantów niepodległość stawała się istotną i rząd wchodził w pełne swe prawa. O dostanie się do tego rządu i opanowanie go rozpoczęła się też namiętna walka, bo wszystkie czynniki społeczne i polityczne, z chwilą ustania zewnętrznego nacisku, wydobyły się na jaw z podwójnym impetem, a Komitet Paryski nietylko walki tej nie uspokoił, lecz wstąpił do niej i niepospolicie ją zaostrzył... Na czele (rządu) stanął rea-

lista ziemianin Świerzyński, a ministrem spraw zagranicznych został narodowy demokrata Głąbiński... W dniu 29 października Świerzyński odczytał program rządu przedstawicielom prasy warszawskiej. Rząd ma... p o d j ą ć p r a c ę p r z y g o t o w a w c z ą w k i e r u n k u r e f o r m y a g r a r n e j oraz dotyczącą bytu i rozwoju warstw pracujących. Uznając potrzebę reform społecznych, pożądanych przez ludowców i socjalistów, gabinet liczył na to, że go pozostawią u steru i w tem się przeliczył... postanowił rzucić socjalistom i ludowcom na żer Radę Regencyjną... Dnia 4 listopada ukazała się jedyna w swoim rodzaju odezwa. Odezwa była aktem rewolucyjnym, ale zarazem programem demagogicznym, bo narodowa demokracja, dla utrzymania swojej polityki wobec Rady Regencyjnej, w o d e z w i e t e j u m i e ś c i ł a s a m a h a s ł o „P o l s k i l u d o w e j“, apelując do „pracującego ludu polskiego“. Zapowiedziała też, że „rząd narodowy utworzy w porozumieniu z politycznemi stronnictwami pracujący lud polski...“ Lud pracujący przyjął tę dymisję (rządu) ze spokojem, a wkrótce pokazał, którą drogą pragnie dojść do Polski ludowej. Daszyński zjechał do Łublina i tam 8 listopada utworzył rząd, ogłaszając, że wynikiem wojny światowej nie jest pogrom państw rozbiorowych, lecz walące się w gruzy rządy kapitalistów, fabrykantów i obszarników... Odezwa Daszyńskiego pod firmą Polski ludowej ogłosiła też najdalej posunięty program socjalistyczny, wprost bolszewicki, uznała za własność państwa wszelkie majoraty oraz lasy... zapowiedziała wywłaszczenie wielkiej i średniej własności ziemskiej i oddanie jej w ręce ludu pracującego pod kontrolą państwa, upaństwowienie kopalń, salin, przemysłu naftowego... oraz innych działów przemysłu... utworzenie milicji ludowej... P r o g r a m t e n r z ą d u L u b e l s k i e g o, u ł o ż o n y n a w z ó r p r o g r a m ó w b o l s z e w i c k i c h, p r z y g o t o w y w a ł P o l s k ę d o w s t ą p i e n i a, o b o k U k r a i n y i L i t w y,

do Sowietów rosyjskich... Droga do terroru i krwawych gwałtów stanęła otworem".

Cały pierwszy, kilkotygodniowy okres początków niepodległości naszkicowany jest w swych najważniejszych konturach w tym ustępie. Wszystkie żądze i słabostki polityczne partji demagogicznych, rwących się za wszelką cenę do władzy, występują tu w całej pełni. Szlachta, podminowana przez ideologję endecką, wykuwa własnemi rękoma topór na swą szyję, wydając rodzące się państwo na łup żywiołom radykalnym. Naiwni, jak dzieci, socjaliści chcą małpować ustrój sowiecki. Endecy ogłaszają hasło reformy rolnej, socjaliści hasło federacyjnej republiki polsko-ukraińsko-litewsko-sowieckiej i zbroją czerwoną gwardję pod nazwą milicji ludowej. A jedni i drudzy podburzają i rewoltują dla swych celów szerokie masy ludu włościańskiego.

Tak wyglądały rzeczywiście narodziny niepodległości. Nie Polska wstawała z grobu, ale — wspólnym wysiłkiem narodowej demokracji i socjalistów, a za nimi i pewnych chłopskich radykałów — jakiś krwawy upiór, łakomy przedewszystkiem na cudzą własność, na cały dorobek polskiego gospodarstwa, cywilizacji i kultury.

I wówczas przybył z Magdeburga Józef Piłsudski, któremu — poddali się wszyscy!

„Tak do naczelnej władzy w Polsce doszedł człowiek, który... pragnął porwać naród do czynnego w wojnie światowej udziału i za którym w tym kierunku poszedł tylko mały odłam tego narodu... Upadli w dążeniu do władzy ci, co w czasie wojny nie umieli się zdobyć na nic więcej, jak na bierność i negację i hasłem tem uśpili cały swój liczny obóz, a w ostatniej chwili, zamiast stanąć z własnym programem i za niego walczyć, wywie-

sili program demagogiczny. Członkowie ziemiańscy rządu Świerzyńskiego, którzy podpisali hasło Polski ludowej, okazali tem samem, *że ich warstwa społeczna przestaje być w budowie państwa samodzielnym czynnikiem*, że w budowie tej historyczna polska tradycja i zasady konserwatywne nie znajdą odważnego obrońcy. Poddając się Piłsudskiemu, ratowali się przed bolszewizmem...“

Wielka a tak prosta prawda zawarta jest w tych słowach! Tak, do władzy dochodzi się czynem, a nigdy biernością czy opozycją, choćby nie wiedzieć jak przemyślnie upozorowaną i wyargumentowaną. Bierność i negacja usypia tandem tedy najliczniejsze nawet i najruchliwsze stronnictwa, paraliżuje najbardziej bojowe programy i pozostawia swym wyznawcom w końcu już tylko bezmyślną demagogję, która ich politycznie zabija.

Tak było dawniej, tak jest dziś i tak będzie zawsze i wszędzie.

A dalej — ten druzgocący wyrok, wydany na ziemian, wypaczonych doktryną narodowej demokracji: ich warstwa społeczna przestaje być w budowie państwa samodzielnym czynnikiem, w budowie tej historyczna polska tradycja i zasady konserwatywne nie znajdą już odważnego obrońcy!

Obecnie, po upływie lat kilkunastu, sytuacja nieco się poprawiła. Zasady konserwatywne znalazły zdecydowanych obrońców, co prawda w wyjątkowo korzystnej, stworzonej przez rządy Piłsudskiego konjunkturze. Jest postęp. Ale czy się utrzyma? Czy dzisiejszy, przed paru laty rozbudzony i zachęcony konserwatyzm warstwy ziemiańskiej okaże się wytrzymałym à toute épreuve? Czy wyzwalające się obecnie z pod długoletniego wpływu endecji ziemiaństwo okaże się „samodzielnym czynnikiem w budowie państwa“ — nawet w gorszej konjunkturze?

Chcemy w to wierzyć, ale trzeba nam to udowodnić!

Politykę narodowej demokracji w czasie układów wersalskich, uosobioną wówczas niepodzielnie w Dmowskim, charakteryzuje autor na podstawie treści jego memorjału z 8 października 1919, złożonego rządom koalicji:

„Ludność polska musi być jednak w państwie dostatecznie jednolista. Polacy są obecnie za słabi, aby rządzić z powodzeniem całym obszarem dzielnic wschodnich. Wobec tego, że niema tam żadnego innego elementu kulturalnego, któryby był dostatecznie silny, program przyszłości politycznej tych wschodnich prowincji polskich staje się niemal nie do rozwiązania... Odbudowanie zaś Polski na całem tem terytorjum obciążyłoby państwo polskie zadaniem ponad siły i pozbawiłoby je spoistości wewnętrznej... ...niema żadnego dobrego rozwiązania tego zagadnienia i trzeba wybrać takie, które przedstawia najmniej stron ujemnych. Rozwiązanie takie możnaby osiągnąć, dzieląc terytorjum polskich prowincji wschodnich na dwie części. Część zachodnia, gdzie żywioł polski jest liczniejszy i gdzie wpływ polski jest stanowczo przeważający, winnaby należeć do państwa polskiego, część zaś wschodnia powinaby zostać w posiadaniu rosyjskiem. Terytorjum zaś z większością, mówiącą po litewsku, w części północnej powinno być zorganizowane jako kraj odrębny, związany z państwem polskiem na zasadzie autonomji“.

Wieje z całego tego, czysto partyjnego przedstawienia sprawy w memorjale Dmowskiego, aż nadto widoczny strach, aby terytorjum odrodzonej Polski nie było pod żadnym warunkiem zbyt wielkie dla owładnięcia go przez narodową demokrację. Dlatego obcina Dmowski bez żadnego skrupułu połowę te-

rytorjum przedrozbiorowego, tłumacząc zachodnim statystom szkodliwość dla Polski (endecji) obarczania się wschodniemi prowincjami. Całkowita odbudowa Polski jest, jego zdaniem, zadaniem „ponad siły" narodu!

Zdaje nam się, że w ówczesnej Europie, wśród przedstawicieli państw, konferujących w Paryżu, nie było żadnego, któryby w tak tępy, doktrynerski sposób szkodził tak dalece najżywotniejszym interesom swej ojczyzny! Dmowski był pod tym względem z pewnością unikatem — prawdziwym fenomenem. Każdy inny żądał czegoś i targował się o coś dla swego państwa. Dmowski dokładał wszelkich starań, aby uzasadnić ówczesnym arbitrom świata konieczność wydatnego okrojenia swego kraju!!

Między jakie kategorje faktów dziejowych zaliczyć należy podobne postępowanie?

Zresztą nie był to wcale izolowany wypadek. Wszak w dwa lata później, w traktacie ryskim, odstąpiła narodowa demokracja Rosji poraz wtóry znaczne terytorja wschodnie, na których oddanie bolszewicy byli przygotowani. Endecja ich nie chciała, bo tam — nie było endeków i wyborcza lista endecka nie miałaby prawdopodobnie szans powodzenia. A więc: pereat Polonia, fiat endecja!

I dlatego raz jeszcze powtarzamy tym wszystkim, którzy chcą racjonalnie rządzić krajem lub wogóle pragną jego mocarstwowego rozwoju: Nie będzie w Polsce spokoju, nie złagodzi się walka klasowa, nie ustali się praworządność i nie wejdzie Polska na tory pomyślnego rozwoju dopóki endecka zaraza— zrodzona w prostej linji z dawnego

warcholstwa i liberum veto — nie zostanie zniszczoną!

Słusznie też napiętnował premjer Sławek naszych „narodowców“ w swej słynnej mowie radomskiej jako „pomniejszycieli Polski“!

Stwierdza to dobitnie dalszy ustęp z czasów bezpośrednio przed najazdem bolszewickim, gdy kolaboracja endecko-socjalistyczna nad przykrawaniem Polski zajaśniała znów w całej pełni.

„Narodowa demokracja nawoływała do nawiązania kontaktu z wodzami kontrrewolucji rosyjskiej, Kołczakiem i Denikinem, twierdząc, że dopóki Rosja potrzebuje naszej pomocy w walce z bolszewikami, porozumienie się z nią co do wielu kwestji, które przytem mogą stać się drażliwe i sporne, będzie łatwe. Stronnictwo socjalistyczne, zagrożone w swoim wpływie na masy robotnicze przez propagandę komunistyczną i pragnąc ją przelicytować, w chwili, kiedy wojsko polskie zajęło Mińsk, 19 września 1919 r. ogłosiło odezwę „precz z wojną!“, w której wzywało do natychmiastowego rozbrojenia i rozpuszczenia wojska, twierdząc, że wojsko to nie walczy o zabezpieczenie granic i niepodległości Polski, ale o interes „żubrów“, t. j. szlachty polskiej, posiadającej dobra na kresach, o tereny dla kolonizacji i o zysk swoich i obcych kapitalistów i zapewniając, że bolszewicy uszanują samostanowienie Ukraińców, Litwinów, Łotyszów i Polaków na wschód od granic Królestwa... Wiele trudu kosztowało Piłsudskiego, ażeby komisję (wspólną komisję spraw zagranicznych i wojskowych dla rokowań pokojowych) odwieźć od tych wniosków pacyfistycznych w chwili, w której wojsko polskie broniło przejść przez Dźwinę i Berezynę i znosiło całą srogość północnej zimy“.

Z kolei przechodzi autor do genezy Konstytucji marcowej.

„Ażeby jednak zająć naprawdę mocarstwowe stanowisko i stawić czoło niebezpieczeństwu, grożącemu ze strony dwuch sąsiednich potęg... potrzebowało państwo polskie ustroju wewnętrznego, któryby siły jego skupiał i potęgował. Pracowały jednak przeciw temu dwa prądy, które społeczeństwo polskie na fałszywe prowadziły drogi.

„Jednym z nich był prąd ultrademokratyczny, który całą władzę w państwie oddawał w ręce najszerszych warstw, do rządów wielkiem państwem nieprzygotowanych i niezdolnych. Warstwy te, zorganizowane w stronnictwach socjalistycznych i ludowych, interes swojej warstwy społecznej stawiały wyżej, niż interes państwa, a stronnictwo, utworzone przez inteligencję, narodowo-demokratyczne, zamiast bronić zdrowych zasad, dążyło za każdą cenę do władzy i ażeby ją zdobyć, prowadziło politykę demagogiczną dla pozyskania w warstwie ludowej mandatów... Nienauczona doświadczeniem Polski szlacheckiej, na „rząd" nie zdobyła się Polska ludowa. Walka o „naprawę Rzeczypospolitej" stanęła znowu na widowni dziejów narodu.

„Drugim prądem, który wstrząsał społeczeństwem polskiem, był centralizm, dążący do tego, ażeby wszystkie siły i urządzenia państwa podciągnąć pod jeden strychulec, zjednoczyć wszystko w Warszawie, choćby przyszło cały kraj poza stolicą wyjałowić".

Znowu prawda oczywista i bezsporna. Walka o naprawę Rzeczypospolitej z jednej, a zanarchizowanie jej z drugiej strony trwa w dalszym ciągu i na razie jakiegoś stanowczego jej końca jeszcze nie widać. A centralizm warszawski, wraz z wytworzoną przez siebie specyficzną, nieznaną przedtem na ziemiach polskich biurokracją i panicznym strachem przed odpowiedzialnością i męską decyzją („warszawizm") utrudnia i opóźnia bez żadnych wątpliwości także i ze swej strony dzieło naprawy stosunków.

Ostatni, krótki ustęp książki, na który pragniemy zwrócić uwagę czytelnika, ustęp, reasumujący niejako wytyczną ludowo-narodowych rządów przedmajowych, brzmi:

„Granica, pociągnięta w pokoju ryskim, opierała się na polityce narodowo-demokratycznej, ażeby z ziem ruskich wcielić tylko tyle, ile Polska zdoła strawić, a polityki tej na konferencjach pokojowych Stanisław Grabski pilnował tak dalece, że Polska i Rosja uznały niepodległość Białorusi i Ukrainy, związanych z Rosją, a ognisko życia białoruskiego — Mińsk — pozostał poza polską granicą. Ludność białoruska i ukraińska, która pozostała przy Polsce, grawituje też do państw swoich, przez pokój uznanych..."

Oto najważniejsze wytyczne i nauki tej niepospolitej książki, która nie jest zwykłą „historją pisaną", ale naprawdę „historją żyjącą". Najosobliwszem w niej to, że czytając różne ustępy, dotyczące tych ostatnich stukilkudziesięciu lat, o których książka traktuje, nie możemy się nieraz oprzeć wrażeniu, że czytamy dzieje całkiem współczesne, z ostatnich lat kilkunastu. Nie było to z pewnością sztucznym celem autora, bo dzieło pisane jest z bardzo wysokiej platformy, z rzadkim — rzec można nieznanym — w dzisiejszych czasach objektywizmem. Prawda historyczna nie szczędzi nikogo, nikomu nie pochlebia, przed nikim się nie ugina. Nie jest to książka ani konserwatywna, ani demokratyczna—w partyjno-politycznem tych słów znaczeniu. Nikt nie dowiedzie, że jest pisana pod takim, czy innym wpływem.

Ale widocznie, skoro fakta i sytuacje tak się raz poraz powtarzają, duch dziejów Polski niewiele się zmienił. Prawda, że w pewnych kierunkach nieco się poprawił. Stwierdza to chętnie Bobrzyński. Ale, ogółem biorąc, cały okres dziejów niewoli, gdzie odruch naprawy, zainicjowany Konstytucją 3-go Maja, został zatamowany, stanowi jakgdyby wielką lukę w naszych dziejach, w której grasują dowoli — w modernizującej się oczywiście szacie — da-

wne narowy i wady społeczeństwa polskiego, rozszerzonego politycznie z warstwy szlacheckiej na wszystkie inne.

Duch ten anarchji i warcholstwa, którego skrępowani obcymi rządami Polacy nie byli w stanie całkowicie pokonać, przeniósł się i wybujał początkowo i w Polsce wyzwolonej. Chcąc go przezwyciężyć i państwo na drogę racjonalnego rozwoju wprowadzić, trzeba więc oczywiście nawiązać do tego ducha, który panował w umysłach przywódców sejmu czteroletniego i twórców Konstytucji majowej.

I do tego właśnie celu zmierza trzeci tom „Dziejów Polski“ Bobrzyńskiego. A kulminuje ten cel w jednem znamiennem, kilkakrotnie w ciągu opowiadania powtórzonem zdaniu: Naród polski dotąd na silny rząd się nie zdobył, a walka o naprawę Rzeczypospolitej trwa dalej.

A zdanie to wyraża też zarazem największe pragnienie autora.

REDAKCJA.

„IDĄCE WILNO".

Na marginesie tematu „Bunt inteligencji".

Wylawszy całą żółć moją na dzisiejsze pojęcia i formy artystyczne i literackie w artykule p. t. „Bunt inteligencji" (t. VIII tego pisma), pragnąłem zająć się innym tematem. Ale sprowokował mnie na nowo w tym samym kierunku jeden z przyjaciół „Naszej Przyszłości", podsuwając mi dodatek do „Słowa" wileńskiego, pod tytułem „Zagary — miesięcznik idącego Wilna, poświęcony sztuce".

Zagary? Jakże bogatym jest nasz język! Jestem pewien, że tytułowe to słowo „Idącego Wilna" mieści w sobie jakieś głębokie znaczenie, ale widocznie tak głębokie, że dna jego głębi dojrzeć nie mogę, a do encyklopedji polskiej nie mam czasu zaglądać.

Ale mniejszo o tytuł „Zagary" i mniejsza o szumne motto „Idące Wilno". Rzecz główna, z czem to młode Wilno do nas idzie?

Samo hasło młodego „idącego Wilna" budzi w uczuciach naszych automatycznie wzniosłe echa — Filaretów, Filomatów, walk młodzieży o kulturę polską pod srogim uciskiem. Wszak w murach Wilna „natus est Conradus"!

Niestety — dzisiejszy powiew kulturalny młodego Wilna przynosi nam coś całkiem innego. Proszę czytać na pierwszej stronie „Zagarów":

OGRÓD.

Kobiety białe i pulchne, jak śnieg przygrzany słońcem
kocim, niedbałym ruchem trą się o męskie ramiona.

Wtulają ciepłe barki zlekka zaróżowione
pod skrzydło spojrzeń łakomych rozpiętych jak opończe.

Śniade i chude dziewczyny, których brunatne piersi
sterczą zuchwale pod tiulem, jak głazy pod nurtem
strumienia.

Łażą po wiotkich jabłoniach, które dostały sierpień
ciężkiemi guzami owoców przytłoczył i zarumienił.

Loki matowych blondynek; ich oczy szklisto-niebieskie
duże jak stawy rozlane pod czołem dziecinnie wysokiem.

Patrzą na świat naiwnie, a małe figlarne pieski
Leżą na ich kolanach, warcząc na ciemne obłoki.

Panowie w sportowych raglanach opanowani i chłodni
cedzą przez zęby słówka zmieszane z białym dymem.

Siadają leniwie na ławki, przykryte rudym kilimem,
strząsając popiół z uważnie zaprasowanych spodni.

A potem zaczyna orkiestra w altanie dalekiej ukryta
grać arje z „Króla Rogera“ i stary polonez Szopena,

Nim łan słomkowego zachodu nie stopi się z łanem żyta
i nad ogrodem zawiśnie seledynowa Selene.

Śliczne, prawda? A przedewszystkiem estetyczne i moralne! Niema co mówić — młode, idące do nas Wilno, „trące się kocim, niedbałym ruchem o kobiety białe i pulchne“ lub „cedzące przez zęby słówka, zmieszane z białawym dymem papierosów“ lub wreszcie „strząsające popiół z uważnie zaprasowanych spodni“, niesie nam istotnie niespodziankę. Jakże odległą od widoku tej ręki młodzieńczej z opowiadania Sobolewskiego, która okuta w kajdany, sterczała ponad tłum w kibitce, jako symbol zemsty „cara północy, zwycięzcy nad dziatwą“!

A więc wyuzdane refleksje ultraimpresjonistycznej wyobraźni na tle jakiegoś prawdziwego czy sfingowanego podmiejskiego ogródka, stanowią ten doniosły, wstępny odezw, tę surmę bojową młodego Wilna, idącego ku nam z pochodnią jakiejś nowej ewangelji!!!?

Konrad zamienia się tam widocznie zpowrotem w Gustawa, ale już nie tego Gustawa upiornego, z raną na piersiach, szalejącego z zawiedzionej miłości, lecz na jakiegoś zdewergondowanego Gucia-lowelasa, który — w braku czegoś lepszego — marnuje czas na ławeczce parkowej, rozsiadając się „leniwie" w towarzystwie pulchnej demimondki z pieskiem na kolanach, ćmiąc papierosy i otrzepując z popiołu nowozaprasowane spodenki.

Tak, to zaiste coś nowego, co nam mury Wilna przynoszą! Ale sądzę, że właściwe miejsce dla tego neowileńskiego Gucia-lowelasa, gdy „dojdzie" do Warszawy, powinno znaleźć się raczej w tutejszym Luna-Parku za mostem Kierbedzia, niż nawet w Parku Ujazdowskim, gdzie jednak nie zauważyłem jeszcze, aby pulchne kobiety ocierały się w promieniach słońca o męskie ramiona!

A teraz następne danie w artystycznej biesiadzie „Zagarów":

ZACHÓD IMAGINISTYCZY.

Grążyło się w horyzont, jak ziarno kuliste
I rosło z horyzontu, krzakami z karminu.
Usta twoje, jak melon rozcięte soczyste
Przypomniały mi wyraz zagubiony: wyląd.

Po Nilu, jak dalekim, stada krokodyląt
W chlupocie fal mulistych kawalkadą płyną.

W niskodrzewiu korali, w południowem morzu
Żagle, płetwy i myśli niziutko położym.
Rozgwiazdy, klosze meduz i grzyby gąbczaste
Przywitają spokojem, jak umarłe miasto.

Kto nam ujął kolorów, a modlitwy dodał?

Fantastycznie migocze wysoka uroda
Piękniejsza, niż posągi, niż brwi twojej zarys.
W niebie — stawie, nalanym fjoletową wodą
Splecionem dwukolorem buchają Antares.

Ofiaruję honorarjum w postaci rościętego melonu, stada krokodyląt, sznura korali oraz kosza rozgwiazd, meduz i grzybów temu, kto raczy wyjaśnić mi przynajmniej choć to tylko, co to słońce, zachodzące w Wilnie, ma do roboty z Nilem, krokodylami, grzybami w lesie oraz koralami i rozgwiazdami na dnie morza? A przedewszystkiem, dlaczego poeta, całując gębę swej kochanki, wielką jak rozcięty melon (bo przecież tak pisze!), dojrzał równocześnie na dnie stawu odbicie akurat gwiazdy Antares? Widać, że to jakiś bardzo niewybredny astronom!

A wreszcie, na zakończenie poetyckiego prologu „Idącego Wilna“, następujący wiersz patrjotyczny:

OJCZYZNA.

Długie surmy poziomo ponad horyzontem
Ku wargom wznoszą się powoli
Lasy wżarte w niebo uciszone
Drogi zgięte jak ramiona mątew —

Kołysane, układane w rękach
Surmy do góry grają
Nas spokojnych i męskich i twardych
Żałobnie i prosto witają —
Upadamy w piachy dróg. Trawy szarpiemy. Boli.
Melodja huczy w lasach. Parzy niby witrjolej.

Porywające — co? Tylko nie bardzo jestem w stanie zrozumieć, dlaczego mamy na zgiętych drogach ojczy-

stych w piachu upadać i szarpać trawę? I co i gdzie nas boli? I co te piachy mają do czynienia z melodją, huczącą w lasach? I co ma z tą patrjotyczną pozycją do czynienia akurat witrjolej czyli kwas siarkowy — $H_2 SO_4$?

Tym razem wierszyk pachnie chemją, jak poprzedni astronomją. Widocznie impresjonizm (czy jak się tam ten nowy dreszcz w tych wierszykach da nazwać!) młodego, idącego Wilna chce oprzeć się na pewnego rodzaju encyklopedji przyrodniczej, bo zaczyna od gwiazd i pulchnych kobiet, przechodzi poprzez krokodyle i rozgwiazdy, a kończy na związkach chemicznych!

Ale to jedno pewne jest i niewzruszone, że w „poemacie“, zatytułowanym „Ojczyzna“, ani ojczyzny, ani Wilna, ani zwłaszcza jakiegoś przystępnego sensu nie widzę!

A ty, Szanowny Czytelniku, w którym z pewnością nie zagasły jeszcze ani zdrowe poczucia prawdziwego piękna i prawdziwej poezji, ani zdrowy rozsądek, racz osądzić spokojnie i objektywnie, czy nie miałem racji wzywać w moim artykule inteligencję polską do zbuntowania się przeciw literackim i artystycznym straszydłom, które narzucają nam jako „sztukę przyszłości“ adepci i epigoni wypaczonego talentu Wyspiańskiego?

Bo on pierwszy winien tym wszystkim dzisiejszym bohomazom!!

„Stańczyk“.

RZUT OKA NA KRYZYS ROLNICZY.

Dysharmonję między ceną a kosztami produkcji, masowo występującą, nazywamy kryzysem. W ostatnich paru latach nie zaszły w kosztach produkcji poważniejsze zmiany. Już z tego wynika, że niskie ceny są powodem kryzysu i że należy szukać uzdrowienia w ich podniesieniu.

Przeciętna cena pszenicy wynosiła w Małopolsce wschodniej zł. 24.50 za q w okresie od ukończenia zbiorów 1930 r. po obecną chwilę, t. j. do początku marca 1931 r., gdy organizacje rolnicze obliczają koszta produkcji ct. m. pszenicy na zł. 49, przeto równą ich połowę, a obecnie o zł. 3 mniej.

Biuro obliczeń kosztów produkcji przy Ministerstwie Przemysłu i Handlu ocenia koszta produkcji ct. m. pszenicy na zł. 42—45.

Obecne ceny pszenicy wynoszą 45—65% kosztów produkcji, zależnie od tego, jak się ocenia i zależnie od chwilowego zapotrzebowania, a względnie podaży, które w cenie wyraz swój znachodzą.

Żadna gałęź produkcji, choćby finansowo najsilniejsza, nie jest w stanie znieść gospodarki, tak zdecydowanie deficytowej. Rolnicy nasi, nietylko włościanie, okazują dużo odporności, wydaje się ona jednak już być u granicy. Objawy tragiczne, nietylko pod względem materjalnym, ale i moralnym, poczynają się mnożyć.

Gdy zawsze w pierwszym rzędzie w historji powinniśmy szukać mistrzyni, interesującą i pouczającą jest rzeczą porównać ceny obecne z dawnemi. Cofając się poza połowę ubiegłego stulecia, natrafiamy na stosunki pańszczyźniane, które wieś naszą utrzymywały w znacznej mierze w gospodarstwie zamienno-naturalnem, przez co

położenie ekonomiczne nawet i wielkiego rolnika było znacznie mniej zależne od dochodów gotówkowych.

Brak środków komunikacyjnych uzależniał ceny od urodzajów najbliższej okolicy, stąd pochodziła ogromna ich różnorodność.

W 1844 r. wiedeński cetnar pszenicy kosztował we Wiedniu fl. 2.30, czyli 1 q fl. 4.60. W Galicji cena pszenicy nie dochodziła wówczas do fl. 4 za q. Równocześnie we Francji kosztowała pszenica fr. 20—24 za q stosownie do okolicy; w Anglji natomiast 60—65 shilingów za quarter, czyli mniejwięcej 30 — 32.50 marek niemieckich za q.

Już w drugiej połowie piątego dziesięciolecia ubiegłego wieku cena zboża w Europie środkowej zaczyna się znacznie podnosić; dochodzi do punktu kulminacyjnego w 1854 r., t. j. podczas kampanji krymskiej; wynosiła wówczas w Wiedniu fl. 7.50 za cet. czyli fl. 15 za q. Polska szlachta w Galicji, podcięta bezpośrednio poprzedzającymi wypadkami politycznymi, uregulowała wówczas swoje stosunki materjalne, a znaczna jej część dorobiła się pokaźnej fortuny.

W połowie 8-go dziesięciolecia XIX wieku poczyna pszenica amerykańska wypierać rosyjską z rynków angielskich, a ta ostatnia konkuruje z miejscową na kontynencie europejskim, deprecjonując jej cenę.

Niebawem rozpoczyna się, najprzód w Niemczech, wołanie rolników o ochronę celną, którzy aż dotąd byli zdecydowanymi wolnohandlowcami. Niemcy, potem Austro-Węgry i inne państwa kontynentalno-europejskie, jedne wcześniej, drugie trochę później, żądaniom tym przynajmniej częściowo czynią zadość.

Kryzys, konkurencją europejską spowodowany, osiąga najwyższe napięcie w 1895 r., gdy Argentyna nietylko pszenicę swoją na rynkach europejskich sprzedaje, ale i oferuje ją po cenach niebywale niskich, znachodząc rekompensatę w premji eksportowej, uzyskiwanej przez spadającą walutę krajową. Na jarmarku św. Anny w Tarnopolu sprzedałem

wówczas 5 wagonów pszenicy po fl. 5.90; była to najniższa cena, jakiej podczas mego zawodu rolniczego dożyłem.

W rozważaniach niniejszych opieram się przedewszystkiem na cenie pszenicy, a to nietylko dlatego, że ze wszystkich produktów rolniczych pszenica jest najbardziej przedmiotem wielkiego handlu światowego, ale i dlatego, że pochodząc z okolicy o glebie zdecydowanie pszenicznej, z natury rzeczy produktowi temu najwięcej zawsze uwagi poświęcałem.

Cena, o której wspomniałem, pochodzi z drugiej połowy lipca 1895 r. i przeliczona na walutę dolarową czyni 2.40. Słowa te piszę 3 marca 1931 r. Pszenica dworska notowana jest dziś na giełdzie lwowskiej paritas Podwołoczyska zł. 22.50, a przed paru tygodniami przez dłuższy czas notowaną była zł. 20, a nawet i niżej, co czyni dolarów 2.22.

W 1895 r. już w listopadzie cena podniosła się na fl. 7, co czyni dol. 2.85, a w lutym 1895 r. dochodziła nawet do fl. 7.50; podczas gdy obecnie jesteśmy już w ósmym miesiącu po żniwach i cenę mamy taką samą, jak w 1895 r., a więc w najgorszym roku dla rolnictwa, bezpośrednio po żniwach. Z powyższego wynika, że ceny kształtują się obecnie jeszcze znacznie gorzej.

Niestety, sytuacja rolników jest o wiele trudniejsza, niż wypadałoby to z powyższego porównania cen. Przedewszystkiem realna wartość tych cen jest obecnie znacznie mniejsza. Ceny towarów przemysłowych, do produkcji rolniczej potrzebnych, są mniejwięcej o 80% wyższe, niż były przed wojną w zaborze austrjackim. Ciężary publiczne są w przybliżeniu o 100% wyższe, niż były w ówczesnej Galicji.

Stosunki kredytowe były wówczas takie, o jakich dziś i marzyć nie możemy. Bankowy kredyt krótkoterminowy kosztował wówczas rolnika 6%, a gdy potrzebował pieniędzy tylko na parę tygodni i nie chciał weksli podpisywać, ani nikogo o żyro prosić, a cieszył się odpowiedniem zau-

faniem, mógł zawsze z łatwością w sąsiedniem miasteczku pożyczyć od kupców zbożowych na 7—8%. Większy deficyt gospodarczy można było rozłożyć na 10—15 lat pożyczką w jednem z towarzystw ubezpieczeniowych, gdzie płaciło się 5—5½%, oczywiście prócz rat amortyzacyjnych. Większe pożyczki zaciągało się w listach zastawnych 50—60-letnich, a oprocentowanych na 4 lub 4½%; gdy listy 4½% stały wyżej, a 4% trochę niżej pari, przeto dłużnika hipotecznego pożyczka kosztowała przeciętnie 4¼%.

Obecnie kredytu długoterminowego nie mamy zupełnie. Kredyt średnioterminowy, udzielany przez Kasy oszczędności, kosztuje 11% i tyleż kosztuje wekslowy kredyt bankowy.

Przy niskich cenach produktów gospodarstwa intensywne wykazują z reguły większy deficyt, niż ekstensywne, co jest w zgodzie nietylko z historją i doświadczeniem, ale i z teorją ekonomji. Te gospodarstwa, mając największe niedobory, bardziej niż inne muszą szukać ratunku w smutnem t. zw. obcinaniu połów, czyli w krajaniu warsztatów rolnych, do czego zmuszają je z jednej strony niskie ceny produktów, a z drugiej strony drogi kredyt i brak jego, zwłaszcza w odpowiedniej formie. Owe obcinanie połów natrafia również na trudności, gdyż ceny ziemi spadły w ostatnich dwóch latach mniejwięcej o 60%, a nawet i po tych niskich cenach niema nabywców.

Sytuacja gospodarcza, w kilku słowach tu skreślona, dostatecznie wyjaśnia, dlaczego kryzys obecny jest tak groźny, jak dotąd nie był żaden poprzedni. Chcąc rzucić okiem na środki zaradcze i możliwość jego rozwikłania, muszę choć w kilku słowach skreślić jego powody.

W poprzednich moich rozprawach, ogłoszonych w zeszycie listopadowym z r. 1929 i styczniowym z r. 1931 czasopisma „Rolnictwo“, będącego półoficjalnym organem naszego Ministerstwa Rolnictwa, a zwłaszcza w pierwszej z nich, wykazywałem, że niema zdecydowanej światowej

hiperprodukcji pszenicy; stoimy jednak u jej granicy, co przy ogromnym rozmiarze rynku pszenicznego, obejmującego niemal całą kulę ziemską, a temsamem trudnego do skontrolowania, powoduje nastrój nerwowy, znachodzący fatalny wyraz w kształtowaniu się cen.

W ostatnich kilku latach prawie wszystkie kraje miały urodzaje dobre, a wiele z nich nawet wyjątkowo dobre, przez to zapasy, które jeden rok gospodarczy pozostawia drugiemu, wzrosły 3—4-krotnie. Zapasy te oceniane bywają rozmaicie, odnośne daty statystyczne nie są zupełnie pewne. Najczęściej zapasy światowe pszenicy przed wojną oceniane bywały na 2½ mil. ton, a zapasy, pozostawione przez kampanję 1929/30 r., na 10 — 11 milj. ton. Jest to liczba ogromna, ale wyda się ona nam mniejszą, gdy zważymy, że przeszło miljard ludzi używa mąkę pszenną za pokarm.

W latach od 1914—1924 r. ludność wzrosła o 7%, a produkcja pszenicy tylko o 6%. Od wybuchu wojny do 1929 r. produkcja wzrosła o 9%, gdy jednak doliczymy zapasy, pozostałe z poprzedniej kampanji, ilość do dyspozycji stojąca wzrosła prawie o 18%. P. Jerzy Gościcki podaje w „Rolniku Ekonomiście“ z 15 lutego 1931 r., że produkcja sześciu najważniejszych zbóż: pszenicy, żyta, jęczmienia, owsa, kukurydzy i ryżu, wzrosła od ostatnich lat przedwojennych do trzechlecia 1927—1929 o 8.3%, podczas gdy ludność o 8.6%. Większość obliczeń znanych mi jest zgodna pod tym względem, że produkcja zbóż w okresie powojennym wzrasta wolniej, niż ludność. Najbardziej pesymistyczne dla rolników obliczenie, a najbardziej optymistyczne dla konsumentów, dochodzi do rezultatu, iż obecnie przypada na głowę mieszkańca o 2 kg. więcej, niż przed wojną.

Z danych powyższych widzimy, że po stronie produkcji nie znachodzimy dostatecznego wyjaśnienia obecnego kryzysu.

Jeden z senjorów nauki ekonomji, berliński profesor

Maks Sering, upatruje główny powód spadku cen w obniżeniu siły kupczej konsumentów, a zwłaszcza ludności krajów środkowo-europejskich, przedewszystkiem niemieckiej. Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, jakoby wywody tego bardzo zasłużonego uczonego, zwłaszcza w zwalczaniu kryzysu z lat 90-tych, w tym wypadku nie miały charakteru agitacyjno-poltycznego w związku z targami Niemiec o obniżenie zobowiązań reparacyjnych.

Wszak jest rzeczą powszechnie znaną, że właśnie u ludności mniej zamożnej pożywienie mączne przeważa, podobnie jak u najbiedniejszych ziemniaczane; podczas gdy w miarę wzrostu zamożności występuje na pierwszy plan mięsne.

Jeszcze przed rokiem można było wskazywać, nie bez pewnej słuszności, na zmniejszenie pożywienia mącznego na korzyść animalnego, jako jeden z głównych powodów kryzysu rolniczego. Owe przeobrażenie najbardziej rozpowszechnionego typu pożywienia łączy się z ogólną demokratyzacją społeczeństwa i z powrotem do domów rodzinnych żołnierzy z wojny, którzy wnieśli nowe upodobania i przyzwyczajenia.

Dziś przedstawia się rzecz o tyle odmiennie, że w ostatnich kilku miesiącach cena produktów hodowlanych, zwłaszcza trzody chlewnej, spadła jeszcze gwałtowniej, niż zboże. Nie zaprzecza to jednak poprzednim wywodom, gdyż główną przyczyną obniżenia cen produktów hodowlanych są właśnie niskie ceny produktów roślinnych, powodując rolnika do skarmiania ich. Położenie targu, raz z równowagi wyprowadzone, nie łatwo daje się do niej przywrócić, ale raczej ten brak równowagi zatacza coraz to szersze kręgi.

Nie bez wpływu w kierunku zmniejszenia konsumcji zboża jest t. zw. racjonalizacja pożywienia, polegająca w znacznej mierze na zastępowaniu potraw mącznych owocami i jarzynami. W każdym razie przyczyny obec-

nego kryzysu leżą na linji względnego zmniejszenia się konsumcji.

Gdy ani daty, odnoszące się do produkcji, ani odnoszące się do konsumcji nie tłumaczą całkowicie obecnego napięcia depresji, jest rzeczą łatwo zrozumiałą, że tak społeczeństwo, przygnębione obecnym kryzysem, jak i ekonomiści szukają i innych powodów. Niektórym wydaje się, iż znaleźli je w pieniądzu, a względnie w złocie.

U nas w Polsce wskazuje się niejednokrotnie na rzekomo zbyt mały obieg pieniężny. Wynosił od 31 stycznia 1928 r. zł. 1.288.553.000, a 31 stycznia 1931 r. zł. 1.512.642.000, a więc więcej o zł. 234.089.000 czyli o 18%, co czyni przeciętnie rocznie 6%. Uwzględnić należy, iż rzeczywisty obieg pieniężny jest u nas znacznie większy, niż wypadałoby to z powyższych sum, składających się przedewszystkiem z biletów Banku Polskiego i bilonu, gdyż kursują u nas dolary w bardzo znacznych ilościach, nie dających się skontrolować.

Gy Gustaw Cassel przyjmuje, że zapas złota powinien wzrastać o 3% rocznie, aby uczynić zadość zapotrzebowaniu obiegu pieniężnego, podyktowanemu normalnem zwiększeniem produkcji, przeto wzrost całego obiegu pieniężnego o 6% rocznie należy uznać za mniej więcej odpowiadający teorji Cassela. Musimy dodać, że w tym okresie ceny znacznie spadły, przez co zapotrzebowanie środka zamiennego, jakim jest pieniądz, stosunkowo zmniejszyło się.

Powiększenie obiegu ponad miarę rzeczywistej potrzeby organizmu gospodarczego i poza granice, zakreślone przez zapasy skarbca banku emisyjnego, podniosłoby wprawdzie ceny, ale tylko pozornie; byłoby niczem innem, jak ponowną inflacją, której towarzyszyćby musiały w większym lub mniejszym stopniu wszelkie klęski, z nią związane, a niestety znane nam dobrze.

Komisja, wydelegowana przez Ligę Narodów dla

zbadania kwestji złota, orzekła, że produkcja jego od 1932 r. względnie 1934 r. zacznie się zmniejszać. Rezultat ten byłby bezsprzecznie pewną podnietą dla wszystkich, którzy chcą koniecznie przyczynę kryzysu upatrywać w niedostatecznej ilości środków obiegowych, uzależnionych, jak dotąd, od zapasu złota. Stąd nowa nawałnica najfantastyczniejszych projektów uniezależnienia pieniądza od złota, z których każdy byłby inflacją i musiałby kraj szybko do ruiny doprowadzić.

Jeżeli nawet przepowiednie Komisji Ligi Narodów sprawdzą się, co wobec najnowszych wiadomości z Ameryki jest bardzo zakwestjonowane, to technika bankowa posiada doskonałe środki, u nas jeszcze mało wykorzystane, jakimi są obrót czekowy i żyrokonto, względnie izby wyrównawcze, służące do zmniejszenia sumy potrzebnych środków płatniczych. Zmniejszenie produkcji złota nie pociągałoby za sobą konieczności oparcia ustroju pieniężnego o inną, dotąd nieznaną podstawę.

Rozwój gospodarczy rolę powyższą właśnie dlatego metalowi żółtemu powierzył, gdyż produkcja jego wpływa mniej, niż każdego innego towaru, na sumę jego zapasów.

P. Feliks Młynarski w dwóch niezwykle interesujących artykułach pod tytułem: „Czy cierpimy na niedostatek złota?“, umieszczonych w grudniowym i styczniowym zeszycie „Przeglądu Gospodarczego“, na pytanie to odpowiada przecząco. Przytacza cały szereg liczb, z których wynika, że zapas złota monetarnego wszystkich krajów świata wzrastał w ostatnich latach stale więcej, niż o 3% rocznie, jedynie w 1929 r. tylko o 2.8%.

Dewizy uzupełniają zapasy złota. Brakiem jego w przyszłości, przewidzieć się dającej, kłopotać się więc nie potrzebujemy.

P. Młynarski podnosi, że zapas złota europejskich banków emisyjnych w latach od 1925 r. do 1929 r, na którym to roku badania swoje kończy, wzrastał przeciet-

nie rocznie o 12%. Mimo to przyznać należy, że rozdział złota zmienił się od czasu wojny ogromnie na niekorzyść Europy; gdy przed wojną z Mk. 41 miljardów Europa posiadała 60%, a Ameryka 16%, obecnie z Mk. 45 miljardów Europa posiada 43%, a Stany Zjednoczone 40%.

P. Młynarski dochodzi do podobnych rezultatów, jak profesor Krzyżanowski w swoich licznych rozprawach, że głównem źródłem złego jest niedostateczna kapitalizacja, powodowana nadmiernymi ciężarami publicznymi. P. Młynarski przytacza, że w Wielkiej Brytanji od czasu wojny dochody prywatne wzrosły o 65% a dochód państwa o 34%; w Niemczech pierwsze o 43%, a drugie o 142%. Czem społeczeństwo uboższe, tem mniejsze są analogiczne liczby, ale stosunek wszędzie podobny zachodzi; i u nas nie jest lepszy, raczej gorszy o tyle, że wzrostu dochodów prywatnych dopatrzeć trudno, a ciała komunalne i przerosłe ponad wszelką miarę organizacje ubezpieczeń społecznych zjadają z dochodu społecznego prawie tyle, co państwo.

Niedostateczna kapitalizacja, powodowana nadmiernymi ciężarami publicznymi, jest też główną przyczyną niedostatecznego kredytu, zwłaszcza w jego formach, rolnictwu najpotrzebniejszych, co w znacznej mierze jest powodem kryzysu.

Brak odpowiedniego kredytu dla rolnictwa objawia się w pierwszym rzędzie złem rozłożeniem podaży produktów. Wielu z rolników naszych, zwłaszcza ziemian, zamiast już bezpośrednio po zbiorach, a względnie w ich połowie, przeważną część inwentarza zatrudniać przygotowaniem roli pod uprawę jesienną, zbyt dużą część jego odrywa do młocki, aby tylko co rychlej zebrane zboże sprzedać. Traci na tem gospodarstwo, a jeszcze więcej położenie rynku, powodując znaczną baissę.

Gdy przed trzema laty walczono o zniesienie ceł wy-

wozowych, które były największym i najbardziej zasadniczym błędem naszej polityki celnej, używano argumentu z gruntu mylnego i nieprawdziwego, jakoby ceny wiosenne przeciętnie nie były wyższe od cen jesiennych, jak tylko o tyle, o ile jest to uzasadnione procentem od zainkasowanej ceny kupna i mankiem. Tak nie jest, tylko w wyjątkowych latach różnica między ceną wiosenną a jesienną granicy tej nie przekracza, a już zupełnie sporadycznie zdarza się, że cena wiosenna jest niższa od jesiennej. Z reguły różnica owa bywa kilkakrotnie wyższą, niżby to było uzasadnione mankiem i procentem.

Głównym celem kredytu rejestrowego, wprowadzonego przed dwoma laty, jest uwolnić rolników od smutnej konieczności sprzedawania zboża bezpośrednio po zbiorach. Jednak, jak dotąd, zadania swego on nie spełnia, a to przedewszystkiem z dwóch powodów: 1) obecne ceny są tak niskie, że zaliczka, udzielana do połowy wartości, małą stanowi dla rolnika pomoc, 2) terminy spłaty kumulowane bywają mniej więcej na jeden czasokres, co fatalnie wpływa na ceny w odnośnej porze.

Z brakiem i niedostatecznym kredytem łączą się bezpośrednio brak organizacji handlowej, względnie jej niedostateczność. Odnosi się to do wszystkich krajów kuli ziemskiej, jednak do Ameryki, zwłaszcza Kanady i Stanów Zjednoczonych mniej, niż do Europy, a do państw zachodnio-europejskich mniej, niż do nas.

Wyzbywanie się zboża bezpośrednio po żniwach i brak organizacji handlowej powodują, że zboże wschodnio- i środkowo-europejskie bywa na rynkach światowych znacznie tańsze, niż amerykańskie, a nawet niż rosyjskie. Różnica ta wynosi zwykle kilkanaście procent. Odnośnie do zboża polskiego stosunek ten zmienił się na jego korzyść, zacierając ową upokarzającą różnicę dopiero wskutek niemiecko-polskiego porozumienia żytniego.

W „Czasie“ z 4 marca czytamy sprawozdanie z dwóch zebrań Krakowskiego Towarzystwa Ekonomicznego, które odbyły się tam pod przewodnictwem prof. Adama Krzyżanowskiego. Docent dr. Zweig referował o powodach obecnego kryzysu, podnosząc zgodnie z przewodniczącym, że obecny kryzys trwa z małemi przerwami już od 1920 r. P. dr. Zweig uważa za jeden z głównych powodów obecnego kryzysu postęp techniki.

Z poglądami tymi nie zgadzam się, uważam je za zbytnie upraszczanie bardzo skomplikowanych zjawisk gospodarczych.

Zapatrywanie, jakoby kryzys obecny trwał już od 1920 r., spotykamy w bardzo wielu obcych dziełach ekonomicznych, lecz opiera się ono przedewszystkiem na stosunkach amerykańskich. Tam niezmierne zapotrzebowanie, wojną europejską spowodowane, wywołało ogromne rozszerzenie w Kanadzie, a uintensywnienie uprawy w Stanach Zjednoczonych. Gdy po zawarciu traktatu wersalskiego i rozbrojeniu wielkich armji zapotrzebowanie zmniejszyło się, ceny spadły. Rozszerzenie uprawy, a podobnie i produkcji przemysłowej w Ameryce było nadmierne, nieliczące się z faktem, że Europa, a względnie jej produkcja, rychło się odbudują.

Ceny, notowane w Ameryce, rozwój ten potwierdzają, inaczej jednak rzecz się miała w Europie. Zapasy jej zostały przez wojnę zniszczone, względnie zużyte. Odbudowa wytworzyła nowe zapotrzebowanie tak produktów rolnych, jak i przemysłowych. Produkcja rolna dwóch największych eksporterów europejskich, Rosji i Rumunji, cofnęła się tak, iż eksport ustał prawie zupełnie. Przed konkurencją amerykańską chronił nas, choć niedostatecznie, koszt transportu.

Prawie wszystkie państwa europejskie, w wojnie udział biorące, uległy inflacji w stopniu przedtem nieznanym. Ona przedewszystkiem opanowała życie gospodar-

cze i do niej ono w pierwszym rzędzie się przystosowywało. Dlatego też, aż do zupełnego opanowania tej strasznej hydry, rynki państw europejskich nie wykazują wspólnych tendencji rozwojowych, lecz raczej w każdem z nich są owocem specyficznych błędów polityki walutowej.

Lata 1927 i 1928 były dla rolnictwa naszego najlepszemi, jakie zapamiętać mogę, trudno więc mówić, że kryzys trwa od 1920 r.

Nie lekceważę postępu techniki, dokonanego od czasu wojny, nie znachodzimy w nim jednak tak przełomowych wynalazków i odkryć, jakimi były na początku XIX stulecia wynalezienie machiny parowej, zmechanizowanie przemysłu włókienniczego i wiekopomne wyniki badań Thaera i Liebiga. Pierwsze zastąpiło starodawny dyliżans pociągiem kolejowym; pierwsze i drugie zamieniło manufaktury we fabryki; trzecie i czwarte spowodowało zastąpienie trzypolówki, która niepodzielnie panowała w Europie przez 1200 lat, gospodarstwem płodozmiennem.

Wszelkie te przemiany nie obeszły się bez tarć i bólów, ale przecież nie wywołały kryzysu tak dotkliwego, jakim jest obecny. Zapewne, nie było wówczas tayloryzmu, wydaje mi się jednak, że każdy sprytny i rozsądny kierownik przedsiębiorstwa, mający zdrowy rozkład w głowie, był dla siebie doskonałym małym Taylorem, obchodząc się wybornie bez studjowania rzekomo uczonych ksiąg o racjonalizacji pracy.

Daleki jestem od twierdzenia, jakoby czynniki i momenta, przez szkołę krakowską podniesione, były bez wpływu; nie mają one jednak tego dominującego znaczenia, które ona im przypisuje, co mi się wydaje ściśle związane z jej liberalnemi zapatrywaniami, z któremi prawie zawsze łączy się niedocenianie różnorodności historycznego rozwoju.

Cały kompleks licznych przyczyn wytworzył kryzys gospodarczy. Podług mojego widzenia rzeczy na pierwszy plan wysuwają się w tym wypadku momenty politycz-

ne, a więc przedewszystkiem wojna światowa, która stała się przyczyną i wielu innych wydarzeń politycznych, współdziałających na wytworzenie kryzysu.

Już wspomniałem o przesadnem rozszerzeniu produkcji amerykańskiej, dostosowanem do warunków, panujących podczas wojny europejskiej, ale nie do epoki pokoju. Wprawdzie od 1922 r. począwszy, produkcję amerykańską znacznie ograniczono, ale to okazało się niewystarczającem.

Eksport pszenicy ze Stanów Zjednoczonych od wybuchu wojny światowej do 1924 r. wzrósł o 110%, produkcja pszenicy w Kanadzie od początku bieżącego wieku do 1924 r. wzrosła siedmiokrotnie, a eksport kilkunastokrotnie. Eksport obu tych krajów wynagrodził z naddatkiem ubytek wywozu z Rumunji, zatamowanego radykalną reformą rolną i wywozu z Rosji, która przed wojną była największym eksporterem pszenicy na świecie.

Pobite i upokorzone Niemcy, mimo ubytku Poznańskiego i Pomorza, zapragnęły być koniecznie organizmem samowystarczalnym, nawet pod względem zboża i innych produktów rolniczych, upatrując w tem jeden z ważnych czynników wskrzeszenia potęgi militarnej. Prohibicyjna polityka agrarna Niemiec nie zna żadnych granic. W ciągu ostatniego okresu półtorarocznego Niemcy siedmiokrotnie cła zbożowe podnosiły, a podobnie i cła na produkta hodowlane. Niemcy, po Wielkiej Brytanji największy importer produktów rolniczych, a dla rolnictwa europejskiego bezwzględnie największy odbiorca, opasały się murem chińskim, a ten tylko w drodze szczególnej łaski niektórzy czasami przekroczyć mogą i to zapomocą specjalnych środków, jak np. rolnicy, którzy skarmiają eozynowane żyto, jak niektórzy mówią: denaturowane, otrzymują pozwolenie na importowanie jęczmienia pastewnego za cłem znacznie zniżonem. Ta polityka Niemiec jest dla rolniczych państw Europy środkowej i wschodniej prawdziwą katastrofą i jednym z głównych powodów kryzysu; zwłaszcza, że

w ostatnich czasach Czechosłowacja i Austrja w znacznej mierze naśladować je zaczynają.

Sowiety stworzyły plan piatiletki, który przemienić ma wielkie imperjum rosyjskie w gospodarczo zupełnie samowystarczalne. Powołuje się do życia w szybkiem tempie wielki przemysł. Tak dla tych celów przemysłowych, jak i z powodu postępującej kolektywizacji ogromnych obszarów rolniczych, kupuje Rosja zagranicą mnóstwo maszyn i innych środków produkcji. W tym celu potrzebuje dużo walut obcych, a chcąc je dostać, eksportuje produkta rolne, drzewne i inne, sprzedając je za bezcen i ogałacając własny kraj ze środków żywności.

Przez same tylko porty czarnomorskie wywieziono od 19 lipca 1930 r. do 29 stycznia 1931 r. 9,709.000 quarterów pszenicy, czyli 19,418.000 q.; podczas gdy za cały rok 1913 eksport pszenicy z Rosji wynosił 33,290.000 q., a zatem obecnie eksport półroczny wynosił 2/3 całorocznego eksportu przedwojennego. Już w latach 1925 i 1926 przestrzegałem w „Rolniku", wydawanym we Lwowie przez Małopolskie Towarzystwo Rolnicze, wówczas jeszcze Towarzystwo Gospodarskie, w „Dniu Polskim" i „Kurjerze Polskim" przed niebezpieczeństwem konkurencji rosyjskiej, która niespodziewanie nas zaskoczyć może. Niestety, obawy moje ziściły się w znacznie wyższym stopniu, niż sądziłem.

Mówiąc o wielkich wydarzeniach politycznych, nie wolno zapominać o wojnie domowej w Chinach, trwającej długi szereg lat. W Chinach głównem pożywieniem jest ryż, ale i konsumcja pszenicy nie jest tam pozbawiona znaczenia. Zamknięcie rynku o 400 miljonach mieszkańców musiało potężny wpływ wywrzeć.

Wydarzenia polityczne uważam za główny, ostateczny powód obecnego kryzysu, a w polityce celnej i w środkach, z nią się łączących, musimy szukać ratunku. Wojny i waśnie gospodarcze nas zgubiły, a porozumienia międzynarodowe winny nasz schorzały organizm uratować.

W przeciwieństwie do tezy, umieszczonej na wstępie mojej niniejszej rozprawy, iż przedewszystkiem do podniesienia cen dążyć musimy, upatrują niektórzy ratunek w obniżeniu ogólnego poziomu cen tak towarów przemysłowych, jak i detalicznych, nawet środków żywnościowych, przez co osiągniętoby zamknięcie nożyc między cenami przemysłowemi a rolniczemi z jednej, a detalicznemi i hurtowemi z drugiej strony. Uzyskanoby podniesienie realnej wartości cen, przez rolników osiąganych.

Ministerstwo Przemysłu i Handlu na początku 1931 r. zapowiedziało szeroką akcję, do powyższego celu skierowaną, jeżeli nie jako antytezę polityki podnoszenia cen, płaconych producentom, to przynajmniej jako tezę zupełnie równoważną; jednak już w „Polsce Gospodarczej" z 21 lutego 1931 r., która jest przecież organem Ministerstwa Przemysłu i Handlu, w artykule „Zniżka cen postępuje" autor przyznaje, że przy obniżaniu cen detalicznych środków żywnościowych należy zachować wielką ostrożność, aby przez to cen, płaconych producentom rolnym, jeszcze bardziej nie obniżyć. Z uznaniem podnieść musimy, iż, jak z przykładu tego widać, rząd nasz przystępnym jest dla wszelkich rozsądnych argumentów, choćby były przeciwne pierwotnym jego zamierzeniom.

Bezsprzecznie ceny detaliczne niektórych środków żywnościowych są w stosunku do cen, płaconych rolnikom, niepomiernie wysokie, tak np. według powszechnej opinji wędliniarnie zarabiają przeszło 100%. Akcja, zdążająca do obniżenia odnośnych cen, wydawałaby się zupełnie uzasadniona, należy jednak postępować bardzo ostrożnie i umiarkowanie, aby nie stała się ona pretekstem do dalszego obniżenia ceny żywca, który i tak już od połowy 1930 r. do lutego 1931 r. spadł przeszło dwukrotnie.

Dalej uwzględnić trzeba, iż różnica między cenami hurtowemi a detalicznemi trochę większa, niż zagranicą, jest u nas uzasadniona: po pierwsze, wyższą stopą procentową, a po drugie naszymi specyficznymi stosunkami spo-

łecznymi, brakiem klasy rentjerów. Posiadacz drobnego kapitaliku szuka u nas zarobku w drobnym handlu, gdyż ma zbyt mało, aby mógł żyć z renty, przez co przeciętne obroty handlowe są u nas znacznie mniejsze, niż gdzieindziej, a tem samem koszta ogólne i stałe rozdzielają się na mniejszą ilość towarów.

Akcję obniżania cen detalicznych i towarów przemysłowych zapoczątkowały Niemcy. Tam łączy się ona z obniżaniem płac, a u nas Minister Przemysłu i Handlu wyraźnie zastrzegł się, że tego nie chce i nie bez pewnej słuszności, gdyż skala życiowa w Polsce jest dość niska.

Obniżanie cen, przy równoczesnem ogłoszeniu płac naogół za nietykalne, nie może być konsekwentnie przeprowadzone, musi i powinno ograniczać się do sporadycznych odcinków życia gospodarczego. Niemcy są w lepszem położeniu, a jednak, jak dotąd, główny nacisk położono tam na obniżanie cen towarów skartelizowanych, jak np. tapety i węgiel. Możnaby i u nas o tem pomyśleć, czy też nie dałoby się zmniejszyć ciężaru społeczeństwa polskiego, spowodowanego dumpingiem cukru i węgla? Obniżenie cen cukru przyczyniłoby się niechybnie do rozszerzenia jego konsumcji i plantacji buraczanych, nadmiernie w ostatnich latach okrojonych; a obniżenie cen węgla przyczyniłoby się bardziej do zaszanowania lasów, niż wszelkie szykany administracyjne.

Naogół obniżenie cen przemysłowych nie przyniesie wielkiego pożytku rolnictwu, pognębionemu kryzysem, gdyż w okresach takich rolnik unika zakupów choćby po tańszych cenach, woli orać starym pługiem, niż nowym a lepszym. Tu musiałoby się rzecz bardzo indywidualizować, dobry przykład winno dać państwo przez swoje wytwórnie nawozów sztucznych.

Sztuczne redukowanie cen pewnych produktów mimowoli wywołuje wrażenie, jakgdyby chciano poziom zamożności odnośnych przedsiębiorców obniżyć odpowiednio do zubożenia innych, kryzysem gorzej dotkniętych. Co do

mnie wolałbym, aby wszyscy byli zarówno bogaci, niż zarówno biedni.

Dążenie do leczenia kryzysu przez obniżenie ogółu cen równa się podwyższeniu wartości pieniądza, co pociąga za sobą krzywdzenie dłużników na korzyść wierzycieli, gdyż muszą zwracać większe wartości, niż poprzednio otrzymali. Dalej pociąga za sobą zwiększenie ciężarów publicznych i tak już zbytnio wygórowanych, gdyż opłacane będą pieniądzem wyżej wartościowym, sprzeciwia się zatem zdrowej i sprawiedliwej polityce walutowej, która domaga się pieniądza o wartości niezmiennej.

Koncepcja redukowania cen łączy się bezpośrednio z koncepcją zmniejszania kosztów produkcji odpowiednio do spadku cen.

Zmniejszanie kosztów produkcji rolniczej jest prawie zawsze połączone z obniżaniem intensywności uprawy do gospodarstwa rabunkowego, bez myśli o przyszłości; łączy się z powrotem do gospodarstwa ugorowego, czyli jest zbliżaniem się do dawnej trójpolówki, zaniechanej w Europie środkowo-zachodniej w pierwszej połowie XIX wieku, a u nas mniejwięcej w ósmem dziesięcioleciu XIX wieku. Zdała ona świetnie egzamin, panując w Europie 1200 lat, ale byłaby dziś nieuzasadnioną przedewszystkiem przez gęste zaludnienie rolnicze, gdyż zwiększyłaby bezrobocie. Zauważyć przytem należy, że gospodarstwo ugorowe, ułatwiając uprawę oziminy, bynajmniej nie wpłynęłoby na zmniejszenie kryzysu zbożowego.

Podług znanego prawa Turgota i Ricarda o zmniejszającej się wydajności kapitałów, w ziemię inwestowanych, wkład podwojony daje rezultat większy, ale nie podwójny, z czego wynika, że inwestycje tylko przy odpowiednim poziomie cen opłacać się mogą. Z powyższego widać, że obecnym niskim cenom płodów nietylko może, ale i powinno towarzyszyć zmniejszanie intensywności uprawy, a przedewszystkiem oszczędność w każdym kierunku, możliwie najdalej posunięta. Umiar jednak i tu jest konieczny, aby

nie zamknąć drogi powrotnej do gospodarstwa intensywnego, gdy nastanie epoka cen wyższych.

Racjonalizacja produkcji w rolnictwie nie ma tak daleko zakreślonych granic, jak w przemyśle. Większa zależność od przyrody przeszkadza temu. Ma tu jednak racjonalizacja zastosowanie bardziej różnorodne. Tu jest szerokie pole dla inicjatywy gospodarza do poczynienia jak najdalej idących oszczędności. Obserwujemy w roku bieżącym najrozmaitsze próby, do tego celu skierowane. Zaoszczędzić można niejedno, np. przy niskich cenach karmy zaniechać kupowania motorów pociągowych, któreby inwentarz roboczy zastępowały.

Rolnicy mają wszelkie prawo domagać się zmniejszenia ciężarów publicznych. Z tego tytułu jednak nie można spodziewać się wielkich oszczędności. Wszak p. Kierownik Ministerstwa Skarbu ocenia minimum egzystencji państwa na 2.700 miljonów złotych i tyle mniejwięcej wynoszą przychody państwowe w bieżącym roku budżetowym 1930/31. P. Kierownik Ministerstwa Skarbu ma nadzieję poczynienia pewnych oszczędności, dojdą one ewentualnie może i do paruset miljonów, zwłaszcza, gdyby Rząd był zmuszony położeniem gospodarczem do ograniczania lub nawet cofnięcia 15-procentowego dodatku dla urzędników *). Ministerstwo Skarbu nie wyklucza możności zmniejszenia sumy wydatków państwowych nawet poniżej 2.700 miljonów złotych, co wymagałoby jednak uchwalenia ustaw, umożebniających takie oszczędności.

Gros naszego budżetu państwowego wynoszą wydatki osobowe. Uposażenia naszych urzędników i funkcjonarjuszy państwowych są naogół bardzo skromne, to też wydatniejsze oszczędności nie mogłyby się obejść bez pewnych społecznych niesprawiedliwości.

Z ciężarów publicznych przeszło 40% przypada na wydatki ciał komunalnych i świadczenia społeczne. Pierw-

---

*) Co od chwili nadesłania Redakcji niniejszej pracy już nastąpiło. (Przyp. Red.).

sze wzrastają niepomiernie szybko, w znacznej mierze dlatego, że niestety, jak dotąd, decydują o ich wysokości nie ci, którzy podatki opłacają, jak to w organizacjach autonomicznych być powinno, lecz niestety czynniki czysto biurokratyczne. Najkonieczniejszym warunkiem oszczędności na tem polu jest oddanie gospodarki autonomicznej bezpośrednio zainteresowanym. Należy to zrobić jak najrychlej; do powodów zasadniczych przyłącza się w województwach południowych jeszcze wzgląd na to, że obecnie możnaby jeszcze korzystać z bogatego doświadczenia tych, którzy za czasów austrjackich w administracji autonomicznej znakomicie wyszkoleni zostali, pracując na honorowych stanowiskach obywatelskich równie gorliwie, jakgdyby byli zawodowymi urzędnikami.

Już tempo wzrostu wydatków komunalnych wskazuje, że możnaby tu dużo zaoszczędzić. Ciężary samorządowe w województwach centralnych od 1926 r. wzrosły o 185%.

Ubezpieczenia społeczne uważam za wielki postęp, który zainicjowały Niemcy około 1880 r. Bezwątpienia, iż poszliśmy na tem polu zbyt szybko, chcąc wyprzedzić innych i nie dostosowując się do możliwości gospodarczych. Uważam za wykluczone, aby można zdobycze społeczne klas pracujących zmniejszać; można jednak i bez tego odnośne ciężary poważnie zredukować, a to przez przystosowanie na wsi ubezpieczenia od choroby do warunków wiejskich, przez co nietylko wydatki byłyby zmniejszone, ale i ubezpieczony miałby większą korzyść.

Projekt Ministerstwa Opieki Społecznej zredukowania liczby Kas Chorych przyniósłby ze sobą jeszcze gorsze zbiurokratyzowanie całej organizacji.

Drugiem ważnem źródłem oszczędności na polu ubezpieczeń społecznych byłoby odstąpienie od dotychczasowej zasady tworzenia przy długoterminowych ubezpieczeniach rezerw, obliczanych na podstawie rachunku prawdopodobieństwa. Przy ubezpieczeniach, opartych na przymusie

ustawowym, rezerwy takie są zbyteczne. Przymus ustawowy dostatecznie wypłacalność ich zabezpiecza. Wskazywał na to Albert Schäffe w swojej książce „Der korporative Hülfskassenzwang" już w 1884 r. Autorytet tego wielkiego uczonego, dysponującego doświadczeniem administracyjnem z czasu, gdy był ministrem przemysłu i handlu pod Hohenwartem i jego znakomite wywody wystarczają dla poparcia tego zdania.

Jak znaczne mogłyby być odnośne oszczędności, łatwo przekonać się można ze sprawozdania Zakładu Ubezpieczeń Pracowników Umysłowych we Lwowie, z którego widzimy, że w dziale ubezpieczeń emerytalnych w roku sprawozdawczym składki pracodawców wyniosły złotych 13.351.682, a wypłacone renty złotych 2.356.047. W dziale ubezpieczenia na wypadek braku pracy dochód ze składek wynosił 3.070.578 zł., natomiast zasiłki w tym dziale złotych 1.034.540. Inne wydatki w obu tych działach mniejwięcej pokryte zostały dochodami z własnego majątku Zakładu; nic więc dziwnego, że majątek Zakładu wzrósł w 1929 r. w dziale ubezpieczenia emerytalnego o zł. 11,802.421, a w dziale ubezpieczenia na wypadek braku pracy o złotych 2,309.916. Pytam się, czy po to mają rolnicy zadłużać się na płacenie wygórowanych stawek ubezpieczeniowych, aby odnośny Zakład mógł budować wspaniałe hotele i wykupywać wszystkie najpiękniejsze realności miejskie?

Stawki te mogłyby być bez żadnej szkody dla ubezpieczonych zredukowane do 1/4. Nie można bez potrzeby obecnej generacji obciążać na korzyść przyszłych.

Rolnicy, tak pod względem administracji, jak i ogółu kosztów produkcji, o ile od nich są zależne, poczynili daleko idące oszczędności. Państwo idzie ich śladem; wszystko to jednak wystarczyć nie może. Wszak obecne ceny produktów rolniczych pokrywają zaledwie połowę kosztów, a nie wydaje mi się, aby najdalej idącemi oszczędnościami nadrobić można więcej, niż 20%. Są one niezbędnym pa-

liatywem, trzeba jednak jasno zdawać sobie sprawę, że znaczna ich część w większym lub mniejszym stopniu ujemnie na produkcję oddziaływuje, zwłaszcza, gdyby były stosowane przez dłuższy okres, jak np. zmniejszenie dawek nawozów sztucznych, oszczędności pod względem obróbki ziemi i t. d. Inne natomiast, jak zmniejszenie poborów funkcjonarjuszy państwowych, łączyłyby się niejednokrotnie z pewnem niebezpieczeństwem i niesprawiedliwością społeczną; choć przyznać należy, że są wypadki, w których właśnie ta sama sprawiedliwość społeczna wymagałaby zmniejszenia poborów, jak np. gdy poprzednie rządy demagogiczne nie czyniły dostatecznej różnicy między poborami zawodów, nie wymagających wykształcenia akademickiego, a poborami personelu, posiadającego je w całej pełni. Tu każde opóźnienie utrudnia poprawę. Podobnie sprawiedliwość społeczna wymagałaby zniżenia przesadnie wysokich uposażeń niektórych kierowników i wyższych funkcjonarjuszy przedsiębiorstw.

Zupełnie inaczej ma się rzecz z oszczędnością, którąby była związana z kredytem; ta oczywiście nietylko nie krępowałaby produkcji, lecz przeciwnie, oddziaływałaby ożywczo. Pod tym względem Polska jest w gorszem położeniu od innych państw.

Nasza oficjalna stopa dyskontowa wynosi od 3 października ubiegłego roku 7½% i jest znacznie wyższą, niż innych banków emisyjnych. Różnica między oficjalną stopą a prywatną, pobieraną przez banki akcyjne, a tembardziej pobieraną przez prywatnych eskonterów, jest znacznie większa, niż w innych państwach, tak dalece, iż wszelkie usiłowania Banku Polskiego, skierowane do obniżenia stopy, zwykły spotykać się z argumentem, iż to nie wpłynie na tranzakcje codziennego życia gospodarczego. Zapatrywanie takie uważam za błędne.

Przed wojną normalna marża między oficjalną stopą dyskontową a pobieraną przez banki akcyjne wynosiła 2%, obecnie zaś 3½%, co wydaje się uzasadnione kilkakrotnem

zmniejszeniem majątków bankowych i z tem łączącem się, choć nie w tym stosunku, zmniejszeniem ich portfelów. Kosztów swoich banki nie zredukowały w stosunku do zmniejszenia majątku i obrotów. Każda poszczególna tranzakcja w wyższym stopniu, niż dawniej, musi przyczyniać się do pokrycia wydatków.

Nie ulega wątpliwości, że wobec powyższego stanu rzeczy banki nie zredukowałyby dobrowolnie marży między stopą reeskonta a eskonta. Podwyższenie oficjalnej stopy dyskontowej musiałoby się odbić na kieszeni producentów, eskontująccyh swoje weksle w bankach akcyjnych. Bank Polski, kierując swoją polityką, musi zdawać sobie z tego sprawę, jednak z natury rzeczy decydującym dla niego argumentem jest zawsze obrona skarbca, będącego gwarantem waluty.

Z tego punktu widzenia rzecz osądzając, trudno w najbliższej przyszłości spodziewać się dla producentów znaczniejszych zaoszczędzeń na polu kredytowem.

Prof. A. Krzyżanowski i p. Feliks Młynarski, za przykładem wielu ekonomistów zagranicznych, zwłaszcza angielskich, uważają, nie bez pewnej słuszności, iż jednym z głównych powodów obecnego przesilenia gospodarczego jest niedostateczna kapitalizacja. Główną przyczynę tego złego upatrują w ciężarach publicznych, nie wymieniając jeszcze jednego winowajcy, którym są, zdaniem mojem, banki, a raczej wogóle instytucje finansowe. Przed wojną płacono od wkładek normalnie tyle, ile wynosiła każdoczesna oficjalna stopa dyskontowa, a dziś w przybliżeniu o 40% mniej. Banki państwowe, które pod niejednym względem przyświecają przykładem bankom akcyjnym, na tem polu pozostają nawet poza nimi. Tu rzecz musi być jak najrychlej zreformowana, a rząd nie powinien opóźniać się z inicjatywą.

Nietylko stosunkowo niskie procenta od wkładek, ale i brak poczucia ich bezwzględnej pewności, jak najgorzej wpływają na kapitalizację. Zawieszanie wypłat przez ak-

cyjne banki, czego mieliśmy przykład w ubiegłym roku na Ziemskim Banku Kredytowym, a w marcu 1931 r. na Polskim Banku Przemysłowym, który swojego czasu był słuszną chlubą autonomji Galicji, muszą deprymująco oddziaływać w sposób zupełnie podobny, jak inflacja i dewaluacja.

Jest obowiązkiem państwa zapobiec podobnie smutnym, a w swych skutkach bardzo groźnym wypadkom. Nowa ustawa o spółkach akcyjnych jest bezsprzecznie pewnym postępem, ale nie chroni ona dostatecznie ani mniejszych akcjonarjuszy, ani szerokiej publiczności. Ci, którzy z natury rzeczy są pionierami ustroju kapitalistycznego, powinni pamiętać, że *najlepszą bronią przeciw etatyzmowi jest samoopanowanie się nietylko w formach zewnętrznych, ale i w chęci zarobku.* Rzecz pozostawiona dalszemu biegowi w obecnym kierunku musiałaby rychło doprowadzić do wyłonienia się projektów upaństwowienia bankowości, zabezpieczając ją przed popadnięciem w błędy swojej poprzedniczki.

W „Rolniku Ekonomiście“ z 1 marca 1931 r. ukazał się artykuł pod tytułem: „W sprawie uruchomienia funduszów instytucji ubezpieczeniowych i oszczędnościowych na cele długoterminowego kredytu rolniczego“, w którym autor zwraca uwagę na odwrotną stronę medalu etatyzacji naszej bankowości, a to w odniesieniu do kredytu długoterminowego. Podnosi on zupełnie słusznie, że podstawą zbytu naszych listów zastawnych musi być zawsze rynek krajowy, że obecnie głównymi ich odbiorcami mogą być tylko instytucje publiczne, oszczędnościowe i ubezpieczeniowe, a te wskutek interwencji rządu zakupują przynajmniej w 3/4 tylko papiery, emitowane przez banki państwowe. Z papierów tych produkcja rolnicza niewiele korzysta, zwłaszcza, że Bank Gospodarstwa Krajowego udziela pożyczek długoterminowych prawie wyłącznie tylko na inwestycje komunalne i cele budowlane. Wprawdzie inaczej ma się rzecz z walorami Banku Rolnego, lecz pożyczki doty-

czące udzielane są przeważnie na cele, związane z parcelacją.

Już wielokrotnie podnosiłem, że fundusze instytucji ubezpieczeniowych, na które rząd ma wpływ decydujący, powinny być lokowane w znacznej mierze w długoterminowym kredycie rolniczym, bądź to bezpośrednio, bądź przez nabywanie listów.

Kredyt obecny jest bardzo drogi. Właściciel gruntu przy obecnych cenach płodów gospodarując sam, nie osiąga żadnego dochodu, lecz raczej deficyt, a wydzierżawiając, najwyżej 2% od wartości, bardzo umiarkowanie ocenionej; natomiast pożyczka długoterminowa kosztuje go conajmniej 10%, czyli, że musi zużyć czynsz dzierżawny 5 morgów na opłacenie procentu od pożyczki, równającej się wartości jednego morga. Pożyczka wysokości 1/5 wartości majątku wyczerpuje obecnie cały dochód.

Realna granica obciążenia jest dziś tak ciasną, że przekroczyć ją jest bardzo łatwo; to każdy rolnik i właściciel ziemski dziś nieustannie musi mieć w pamięci.

Obdłużenie rolnictwa w Niemczech wynosi 13 miljardów marek; u nas obliczają je w przybliżeniu na 23 miljardy złotych. Według mnie wynosi ono znacznie więcej. Obszar użytków rolnych w Niemczech nie jest nawet dwukrotnie większy od naszego. Z tego wynikałoby, że zadłużenie rolników w Niemczech jest przeszło 13 razy wyższe, niż u nas. Inaczej się rzecz przedstawia, gdy obierzemy realniejszą podstawę do porównania, t. j. wartość produkcji rolniczej. Wynosi ona w Niemczech 13 miljardów marek, czyli tyle samo, co zadłużenie, w Polsce natomiast 7½ miljarda złotych z tą wielką różnicą, że nasza produkcja jest silnie deficytowa. Opłacalność rolnictwa niemieckiego, mimo nieustających narzekań tamtejszych rolników, przecież przedstawia się zupełnie inaczej, o czem wymownie świadczy cena pszenicy, która tam jest 2½ razy wyższą, niż u nas.

Porównując położenie jednych i drugich rolników, uwzględnić należy znacznie tańszy kredyt w Niemczech i że suma pożyczek rozkłada się tam znacznie równomierniej na ogół rolników, podczas gdy u nas dłużnikami są przeważnie tylko ziemianie i ci z włościan, którzy w ostatnich czasach posiadłość swoją rozszerzyli.

Afera Polskiego Banku Przemysłowego jest jaskrawym przykładem, jak mało kapitaliści zagraniczni dbają, aby interwencja ich przyniosła pożytek społeczeństwu dłużniczemu. Podstawy organizacji kredytowej musimy szukać we własnym kapitale, nie lekceważąc obcego, ale przyznając mu jak najmniejszy wpływ na administrację. Już stąd wynika doniosłość szybkiej kapitalizacji.

Ulepszenia kredytowe przynoszą ze sobą nietylko potanienie kosztów produkcji, ale wpływają też na podniesienie ceny, gdyż umożebniają producentowi lepsze rozłożenie podaży, dostosowanie jej do zapotrzebowania.

Już od początku XIX w., a nawet i dawniej, najpotężniejszym środkiem wpływania na kształtowanie się cen jest polityka celna. Może w żadnej innej dziedzinie państwo nasze nie popełniło tylu błędów i zaniedbań.

Bezpośrednio po wskrzeszeniu państwa polskiego cliła każda z komór importowane towary podług taryfy państwa zaborczego, do którego należała. Chaos taki długo trwać nie mógł. Niebawem zdecydowano się na przystosowanie z małemi zmianami taryfy celnej dawnego imperjum rosyjskiego.

Taryfa rosyjska należała do najwyższych w Europie, ale ceł zbożowych nie miała zupełnie. Rosja była krajem najniższych cen produktów rolniczych, nie potrzebowała więc bronić się przed obcą konkurencją.

Tak ta podstawa historycznego rozwoju naszej polityki celnej, jak i zamiłowanie do demagogicznych haseł, jakiem jest obrona konsumenta przed rzekomo wygórowanemi cenami, a jeszcze bardziej hasło taniego chleba, sprawiły, że poraz pierwszy wprowadzono u nas ochronne cła zbożowe

dopiero w listopadzie i grudniu 1928 r., najprzód na żyto, potem na pszenicę, po zł. 11.

Nie dopuszczał do wprowadzenia ceł zbożowych i p. Władysław Grabski podczas swojej dyktatury gospodarczej, choć był sam rolnikiem z zawodu i choć zastępcy przemysłu godzili się na ich wprowadzenie. Mieliśmy nawet ministrów rolnictwa, którzy cła zbożowe zwalczali. Wychodzono z doktrynerskiego stanowiska, jakoby państwo rolnicze ceł zbożowych nie potrzebowało, mimo pouczającego przykładu Stanów Zjednoczonych, które oddawna cła zbożowe posiadają.

Wprowadzono natomiast już bardzo rychło cła wywozowe, aby rzekomo przeszkodzić ogałacaniu kraju ze środków żywności i sprzedawaniu zboża po niskich cenach jesiennych, żeby je po drogich na wiosnę importować; nie bacząc, że przy niskich cenach rolnik więcej płodów wyzbyć musi, chcąc zobowiązania swoje pokryć.

Już od 1828 r. Europa przedwojenna ceł wywozowych nie miała, gdyż państwo nie powinno cen jednych towarów podnosić przez cła importowe, a innych obniżać przez cła wywozowe; Austro-Węgry nakładały wprawdzie cło wywozowe na szmaty, ale ono nikomu nie szkodziło, a pomagało produkcji papierni; Wielka Brytanja miała nieznaczne cło wywozowe na węgiel, jednak o charakterze czysto fiskalnym; w Stanach Zjednoczonych nawet konstytucja zabrania wprowadzenia ceł wywozowych. *Cłami wywozowemi krzywdzono rolników naszych i zniszczono krajowy handel zbożowy, doprowadzając kupców do kija żebraczego.*

Błędnej naszej polityce, sprzeciwiającej się wprowadzeniu importowych ceł zbożowych, dostarczała argumentów nauka, twierdząc przez niektórych reprezentantów swoich, jakoby cło ochronne tylko wówczas na cenę oddziaływało, gdy kraj ma niedobór dotyczącego towaru. Zapo-

minano, że państwo tak rozległe, jak Polska, nie da się porównać z podobnym tworem, jak np. „Der isolierte Staat“ Thünena, któryby miał tylko jeden punkt centralny, jedno miasto.

W większem państwie, choćby mającem naogół nadmiar zboża, znajdą się i okolice o niedostatecznej ilości. Nie jest dla rynku krajowego rzeczą obojętną, czy pokryją one ów niedobór importem z zagranicy, czy też przywozem z innych okolic tego samego państwa. W państwach, mających nawet nadmiar jakiegoś towaru, przywóz i wywóz występują zwykle równocześnie, choć ostatni bywa oczywiście większy.

Już sama możność importu może na cenę do pewnego stopnia zniżkowo oddziałać. Prawie nigdy cło nie jest pozbawione wszelkiego wpływu na cenę, ani też nie podnosi jej o pełną swą wysokość, gdyż jeżeli nawet pozornie tak jest, to uwzględnić należy, że cło kraju importującego obniża cenę kraju eksportującego.

Mimo wszystko przyznać trzeba, że czem mniejszy niedobór lub jeżeli niema go zupełnie, tem mniejszy wpływ cła na cenę towaru chronionego.

W polityce celnej, lekceważącej naszą największą produkcję, t. j. rolniczą, zrobiono wyłom po raz pierwszy za rządów p. Bartla, wprowadzając już wspomniane przezemnie cło od żyta i pszenicy. W trzy kwartały później, za rządów p. Świtalskiego, rozszerzono tę samą stawkę zł. 11 na jęczmień i owies, a na kukurydzę, groch, fasolę, hreczkę nałożono cło w wysokości zł. 6.

Niebawem przystąpiono do obmyślenia środków, zapewniających rolnictwu korzystanie z tych ceł, gdyż zwiększona produkcja działalność ich osłabiała. Wzorów szukać musiano zagranicą.

Niemcy już na wiele lat przed upływem XIX wieku były deficytowe pod względem pszenicy i zbóż jarych, jednak pod względem żyta są dotąd eksporterem, to też chcąc, aby produkcja ich korzystała z ochrony celnej w ca-

łej pełni, już w r. 1894 wprowadziły t. zw. Einfuhrscheiny, rozszerzone i na inne gatunki zbóż, polegające na tem, iż eksporter dostaje certyfikat, uprawniający do bezcłowego przywozu takiej samej ilości tego samego lub pokrewnego rodzaju towaru.

W znacznej mierze dzięki temu urządzeniu rolnictwo niemieckie osiągnęło pierwsze miejsce wśród wszystkich większych państw cywilizowanych świata. Certyfikaty przywozowe były przedmiotem handlu. Eksport, prócz równowartości towaru, uzyskuje i równowartość certyfikatu przywozowego, mogąc tem samem producentowi lepszą cenę płacić; gdy państwa europejskie, nie wyłączając Niemiec, wywożą zboże przeważnie w jesieni, certyfikaty wpływały na zmniejszenie różnicy między ceną jesienną a wiosenną, podnosząc pierwszą.

Certyfikaty wpływały na podniesienie ceny zboża eksportowego, a więc żyta, a na zniżenie ceny zboża importowanego, zatem pszenicy; gdyż opłata cła certyfikatem wypadała taniej, niż gotówką.

Ostateczny rezultat ich wpływu na rozwój rolnictwa musimy klasyfikować bądź co bądź jako bardzo dodatni.

W Niemczech podaż certyfikatów była mniejszą, niż popyt za nimi, gdyż eksportowano tylko żyto, a pod względem innych gatunków zbóż były stale braki.

Inaczej ma się rzecz w Polsce. Polska jest naogół pod względem zbożowym państwem samowystarczalnem. Jedynie tylko jęczmień zawsze eksportujemy; w roku 1929/30, t. j. w roku największego jego urodzaju, wywieziona nadwyżka wyniosła 16.2% produkcji. W ostatnich 6-ciu latach mieliśmy dwa lata, w których importowaliśmy żyto; w stosunku do produkcji import wynosił najwyżej 1.7%. W innych latach żyto wywoziliśmy, naogół mamy jego nadmiar. Pszenicy eksportowaliśmy w r. 1925/26 — 7.9% produkcji; w bieżącej kampanji prawdopodobnie wywieziemy nieco więcej; natomiast import pszenicy wyniósł w roku 1926/27 — 17.1%.

Wobec takiego ustosunkowania się rozmiaru produkcji do zapotrzebowania, rząd i organizacje rolnicze obawiały się, że certyfikaty przywozowe nie będą miały dostatecznego pokupu, gdyż naogół eksport ma przewagę nad importem.

Rząd nie uważał się za uprawnionego do wprowadzenia certyfikatów przywozowych poza normalną drogą ustawodawczą, a ta była zamknięta wobec braku większości w dawnym sejmie.

Tak względy rzeczowe, jak i formalne skłoniły rząd do wybrania innej drogi. Rolnicy domagali się premji wywozowych. W rozszerzeniu obrotu uszlachetniającego na rolnictwo, polegającego na zwrocie cła, opłacanego za surowiec lub za środki produkcji, rząd znalazł sposób zadośćuczynienia tym żądaniom. Zwrot ten zryczałtowano na zł. 6 od 100 kg. pszenicy i żyta, a na zł. 4 od jęczmienia i owsa.

Chcąc zabezpieczyć skarb państwa przed zbyt wielkim wydatkiem i ułatwić zorganizowanie handlu eksportowego, sumy premji skontyngentowano, przez co uzyskanie certyfikatu wywozowego stało się pewnem uprzywilejowaniem. Wynikło stąd niebezpieczeństwo, że eksporterzy całą premję na swoją korzyść zatrzymają, nie podnosząc ceny; i rzeczywiście, w zimowych miesiącach 1930 r. rolnicy z premji nie korzystali. Później kontyngenty podniesiono i stosunki poprawiły się pod tym względem.

Dokładna analiza wykazuje, że ceny polskie byłyby jeszcze niższe, gdyby nie płacono premji. Najjaśniej to wychodzi przy porównaniu cen giełdy poznańskiej z ceną fob szkuta na Warcie. Jeden z miarodajnych czynników małopolskich organizacji rolniczych w przemówieniu na zebraniu Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego we Lwowie wyraził zapatrywanie, iż byłoby bardziej celowem premjowanie przetworów zbożowo-mącznych i płodów droższych, jak np. fasoli, maku i t. d. Zapatrywania tego nie podzielam, gdyż co do pierwszego, premja zostałaby w kieszeni

przedsiębiorstw przetwórczych, omijając rolnika zupełnie, a co do drugiego, spowodowałaby rozszerzenie uprawy na grunta, nie nadające się do niej zupełnie, deprecjonując cenę.

Wprowadzenie premji było konieczną bronią przeciw dumpingowi obcych państw, zwłaszcza Niemiec. Najbardziej radykalny dumping w handlu zbożowym, sowiecki, ujawnił się o kilka miesięcy później.

Państwa, które obrały drogę dumpingu, nietylko sprawiły, że inne za ich przykładem poszły, ale i spowodowały wzajemne przelicytowanie się z niemałym kosztem skarbów państwowych. W miarę rozpowszechniania się dumpingu wzrasta jego wpływ ujemny na cenę światową. Wprowadzony dla dobra producenta, może ostatecznie obrócić się na jego szkodę. Z premji korzysta nietylko krajowy eksport, ale i zagraniczny konsument, a czem dumping powszechniejszy, tem bardziej przeważa to drugie.

Premje musieliśmy wprowadzić; był to ostateczny nakaz stosunków konkurencji zagranicznej i cofnąć ich nie możemy, jak długo nie zrobi tego najważniejszy nasz konkurent i odbiorca, t. j. Rzesza niemiecka. A jednak rozwój cen dowodzi, że na tej drodze celu nie osiągniemy. W listopadzie 1929 r., a więc w chwili wprowadzenia premji, pszenica kosztowała w Warszawie dolarów 4.45, a w styczniu 1931 r. dolarów 2.64. Z późniejszą ceną porównać nie mogę, mimo, iż słowa te piszę w połowie marca; gdyż Główny Urząd Statystyczny, właśnie wówczas, kiedy społeczeństwo z powodu kryzysu najbardziej interesuje się cenami zboża, zaprzestał ogłaszać „Przegląd międzynarodowy cen giełdowych zbóż“ w każdym zeszycie „Wiadomości Statystycznych“, a zadowalnia się ogłaszaniem w co trzecim zeszycie. Wpływ premji ograniczył się do zapobieżenia w pewnej mierze jeszcze gorszemu złemu, ale nie zdołał stosunków poprawić.

Wojna celna z Niemcami, w którą zostaliśmy uwikłani przed 6-ciu laty, zmniejszyła wprawdzie kosztem ogromnych ofiar naszą zależność gospodarczą od nich. Jednak

mimo to, wzajemny wpływ stosunków ekonomicznych jest niezmierny, uwarunkowany już położeniem geograficznem.

W miarę wzrostu intensywności wymiany towarów stawki celne rozmaitych państw muszą dążyć do zmniejszania różnic. Po Wielkiej Brytanji Rzesza Niemiecka jest największym importerem zboża, a gdy pierwsza nie ma ceł zbożowych, przeto polityka Niemiec wywiera największy wpływ na wysokość stawek celnych. Oczywiście, że wpływ ten musi być tem większy w odniesieniu do Polski, dla której Niemcy są naturalnym i najbliższym odbiorcą i z którą mają tak niezmiernie długą granicę.

Do polityki handlowej Niemiec stosować się musimy, nie z manji naśladownictwa, lecz poprostu dlatego, że o ile słabszą jest ochrona nasza od niemieckiej, tem chętniej rzuca się towar obcy, zwłaszcza rosyjski, na rynki nasze, wzamian za niemieckie.

Niemcy podniosły certyfikaty przywozowe od pszenicy i żyta na marek 9, rozszerzyły je na prawie wszystkie produkta rolnicze, tak roślinne, jak i animalne; dla trzody wynoszą one marek 27. Od kilku miesięcy z powodu braku środków budżetowych przerwano wydawanie Einfuhrscheinów; jednak najnowszy plan Schielego przewiduje dalsze ich rozszerzenie. Cło na żyto podniesiono na marek 15, a na pszenicę na marek 25. Wprowadzono cła ruchome.

Radykalna polityka agrarna Niemiec, zapoczątkowana już w 1929 r. wypowiedzeniem traktatu ze Szwecją, co było koniecznym jej warunkiem, gdyż wiązał on cały szereg rolniczych stawek celnych, z których na mocy klauzuli największego uprzywilejowania korzystały i inne państwa, z Niemcami traktatem związane, przyniosła bądź co bądź rolnikom niemieckim niezaprzeczalny pożytek; w cenach płodów rolnych znachodzi to jaskrawy wyraz.

Polska z tem wszystkiem liczyć się musiała. Słusznie rząd podniósł 28 lutego 1931 r. nasze cło na pszenicę do zł. 25, a na żyto, jęczmień i owies do zł. 17. Trudności

budżetowe stoją na przeszkodzie podniesieniu premji. Wydawałoby się, że wyczerpaliśmy środki, dotąd powszechnie praktykowane, a jednak zamierzonego celu podniesienia cen nie osiągnęliśmy. Nic dziwnego, że wyłaniają się coraz to nowe projekta, niektóre z nich połączone z inflacją, które więc, jako niemoralne, zgóry potępić musimy. Inne, jak monopol zbożowy, zastosowany już przez Szwajcarję, Norwegję i Estonję, wymagają przynajmniej szkicowego omówienia.

Radykalne projekta zwykły wyłaniać się w chwilach największego przesilenia; podobnie ma się rzecz z monopolem zbożowym, który nie jest koncepcją nową. Protoplastów jego możnaby już w starożytności odszukać, zaprowadziłoby to nas jednak zbyt daleko.

Z powodu kryzysu, konkurencją amerykańską spowodowanego, wystąpił z projektem monopolu zbożowego w Niemczech hr. Kanitz w artykułach dziennikarskich już w r. 1887. W latach 1894 i 1896 odnośny wniosek postawiony został w Reichstagu, jednak oba razy został odrzucony po energicznym sprzeciwie kanclerza, najprzód Capriviego, a potem ks. Hohenlohe.

Portugalja w roku 1899 wprowadziła daleko idącą reglamentację zagranicznego handlu zbożem, podobną, jak obecnie posiada Szwecja.

Szwajcarja i Norwegja wprowadziły monopol zbożowy z powodu trudności aprowizacyjnych, spowodowanych wojną światową. Gwarancja cen zbożowych utrzymała się dotąd tak w jednem, jak i w drugiem państwie. W obu za krajowe zboże płaci się drożej, niż za importowane. W Szwajcarji wskutek wyniku głosowania ludowego zniesiono monopol w r. 1929, jednak pozostawiając w mocy gwarancję cen. Wreszcie w r. 1930 wprowadziła monopol Estonja. Wszystkie powyższe kraje zdane są przeważnie na import zboża, co ułatwia im każdą reglamentację, choćby tak daleko idącą, jak monopolową.

Polska jest pod względem zbożowym krajem mniej-więcej samowystarczalnym. W stosunku do produkcji najwięcej wwozimy jęczmienia; w ostatnich 6-ciu latach nadwyżka eksportowa wahała się od 3.9% w r. 1927/28 do 16.2% w r. 1929/30, a przeciętnie wynosiła 9%. W powyższym 6-cioletnim okresie mieliśmy w dwóch latach mały niedobór żyta, a w latach nadwyżek wahał się on od 0.9% do 5.2%, a to w r. 1925/26. Co do pszenicy, mieliśmy w trzech latach niedobór, dochodzący nawet do 17.1% w r. 1926/27, a w pozostałych nadwyżkę, wahającą się od 0.7% do 9.9% w r. 1925/26.

Te małe nadwyżki wywozowe czynią wielu z rolników naszych zwolennikami systemu monopolowego; wychodzą oni z mylnego założenia, że małym kosztem zakupywania tych nadwyżek mogłoby państwo dowolnie ceny zbóż regulować.

W lutym 1931 ukazał się V zeszyt „Rozpraw i Sprawozdań Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego we Lwowie", zawierający interesującą rozprawę p. D-ra Walerjana Zakliki, ziemianina z pow. Rawy Ruskiej, pod tytułem: „Projekt minimalnych cen zbożowych w Polsce". Rozprawa ta zasługuje na szczególną uwagę, gdyż oparta jest nietylko na znajomości dotyczącej literatury, ale i na własnem doświadczeniu rolniczem, a pisana jest bardzo objektywnie; to też autor zasługuje na taką samą objektywną polemikę.

Podstawą projektu p. Zakliki jest, że ceny, płacone przez Państwowe Zakłady Zbożowe, mają zawsze od sierpnia aż do nowych żniw wzrastać po 1 zł. miesięcznie od cetnara metrycznego, osiągając w lutym średnią swą wysokość, którą przykładowo przyjmuje dla pszenicy na zł. 49 a dla żyta na zł. 36.

Dalej sądzi p. Zaklika, że z tej miesięcznej nadwyżki jednozłotowej zaabsorbują gr. 40 koszta, a pozostałych gr. 60, które uczynią od ceny kupna 18% pro anno przy pszenicy, a 24% przy życie, tworzyć będzie zysk posiadacza

zboża. Ten zapewniony zysk, zdaniem jego, zachęci kupców do nabywania zboża, którzy, konkurując między sobą, płacić będą nawet ceny wyższe od gwarantowanych. Tylko nieznaczne ilości wypadnie kupować Państwowym Zakładom Zbożowym.

Wydaje mi się, że p. Zaklika jest w błędzie. Nawet zysk 18% nie będzie dostateczną przynętą dla naszego stanu kupieckiego. Tu już trzeba zejść z dziedziny ekonomji do stosunków społecznych naszych miast i miasteczek. Nawet najbiedniejszy z naszych kupców zbożowych potrzebuje przynajmniej zł. 1000 miesięcznie na życie, musiałby więc mieć conajmniej zł. 72.000, aby w ten sposób na życie zarobić. Większość kupców naszych kapitału takiego nie posiada. Zarobienie li tylko na pokrycie kosztów życiowych naszym kupcom zbożowym nie wystarcza; wolą mieć ryzyko strat, ale i szanse większych zysków, któreby wzbogaciły jego i jego dzieci.

Projekt swój ogranicza p. Zaklika do pszenicy i żyta, a dla ułatwienia wprowadzenia go w życie na pierwszy rok, nawet tylko do pszenicy. Nie liczy się autor, że zagwarantowanie cen tylko dla dwóch płodów musiałoby ustosunkowanie obsiewów zupełnie zmienić, może najmniej wpłynęłoby to na obszar obsiewu owsa. Obsiew jęczmienia zmniejszyłby się bardzo znacznie, może o połowę, a może i więcej, w każdym razie eksport jego znikłby zupełnie. Podobnie zmniejszyłby się obsiew i innych plonów.

Tem samem zmieniłyby się bardzo znacznie wszelkie obliczenia p. Zakliki. Przewidywana strata państwa na eksporcie nadwyżek wyniosłaby nie zł. 80 miljonów, jak p. Zaklika przewiduje, ale kilkakrotnie więcej. Finansowy niedobór pragnie autor pokryć progresywnym dodatkiem do podatku gruntowego; byłby on bardzo duży i uciążliwy, zwłaszcza gdy się zważy, iż cały podatek gruntowy przynosi państwu zł. 60 miljonów.

Autor zdaje sobie sprawę, że ograniczenie obowiązku zakładów państwowych, względnie państwa, do zakupy-

wania nadwyżek eksportowych nie wystarczałoby do zagwarantowania ceny; sądzi jednak, że dużo kupowałby prywatny handel, a pod tym względem, jak już wykazałem, nadzieje jego są przesadne.

Uważam za największe i najbardziej zasadnicze niebezpieczeństwo każdej organizacji monopolowej, iż mniej lub więcej musi ona wkraczać w dziedzinę reglamentacji produkcji, przez co podważa ideę własności prywatnej. Nie zdołał ominąć tego i monopol szwajcarski, a nam byłoby jeszcze trudniej, gdyż zapotrzebowanie krajowe pokrywamy w zupełności lub prawie całkiem produkcją własną. Państwo, gwarantując cenę produkowanych towarów, nie może wyrzec się prawa ograniczania odnośnej produkcji. Monopol spirytusowy wskazuje na to wymownie.

Wspomniany monopol jest również pouczającym przykładem, jak kosztowną jest administracja monopolowa. Administracja jego, wraz ze wszystkimi wydatkami, połączonymi z eksploatacją, wynosiła w roku budżetowym 1930/31 okrągło ¼ miljarda złotych.

Potrzebne inwestycje oblicza p. Zaklika na zł. 600 miljonów, z czego zł. 300 miljonów na budowę elewatorów, a drugich zł. 300 miljonów na kapitał handlowy. Ten ostatni wydaje mi się za nisko obliczony, co jest w związku z tem, co już powiedziałem. Polskie rolnictwo wywozi na rynki tak krajowe, jak i zagraniczne, razem 7.5 miljonów q. pszenicy i 18 miljonów q. żyta. Licząc pszenicę po zł. 49, a żyto po zł. 36, czyniłoby to 1015.5 miljonów złotych. Kapitał handlowy musiałby zatem wynosić co najmniej ½ miljarda złotych.

Dla omówienia monopolu wybrałem rozprawę p. Zakliki, gdyż jest to jedyny opracowany projekt i opracowany dobrze. Widzimy z mojej krytyki, iż łączy się z nim dużo stron ciemnych; pragnęlibyśmy pójść drogą, mniej uzależniającą jednostkę od woli i dowolności organów państwowych, a tą drogą są porozumienia międzynarodowe, w pierwszym rzędzie stworzenie agrarnych ceł preferen-

cyjnych między państwami europejskiemi, z wyższą barjerą celną dookoła kontynentu europejskiego i zachodniej granicy rosyjskiej.

Konsumcja europejska produktów rolniczych, a to tak roślinnych, jak i animalnych, bardzo znacznie przewyższa jej produkcję, z tą różnicą, że pierwszy niedobór datuje się już od 8-go dziesięciolecia XIX w., natomiast niedobór pod względem produktów hodowlanych jest znacznie późniejszej daty; z początku ograniczał się do Wielkiej Brytanji, a obecnie odnosi się i do innych państw zachodnio-europejskich, choć niektóre z nich, jak przedewszystkiem Danja, są na tem polu wielkimi eksporterami.

Z niedoboru tego korzystają kraje zamorskie, pokrywając go z nadwyżką; z tą różnicą, że w handlu zbożowym pierwsze skrzypce grają Stany Zjednoczone i Kanada, a pod względem pokrywania europejskiego niedoboru produktów hodowlanych rola ta przypada przedewszystkiem Argentynie i Australji.

Pod względem pszenicy wynosił niedobór Europy, bez Rosji, w latach 1909—1913 przeciętnie 23%, natomiast w r. 1929 wynosił 27.1%. W cyfrach bezwzględnych niedobór pszenicy w Europie, bez Rosji, waha się obecnie od 120 milj. q. do 150 milj. q. rocznie.

Powyższy stosunek produkcji płodów rolnych do ich zapotrzebowania w Europie, bez Rosji, daje możność regulowania cen przy pomocy porozumień międzynarodowych krajów zainteresowanych. Nawet i produkcja Europy wraz z Rosją nie wystarcza do pokrycia zapotrzebowania, stosunek niedoboru do produkcji jest jednak znacznie mniejszy; dla pszenicy wynosił on w r. 1927/28 — 14.9% produkcji.

Żądanie wyłączenia Rosji od porozumienia międzynarodowego opiera się nietylko na mniejszym procencie niedoboru, lecz i na niewiadomej, z którą mielibyśmy wówczas do czynienia. Państwo rosyjskie jest tak ogromne, jego stosunki są dziś tak mało znane, piatiletka w razie całkowitego lub prawie całkowitego udania się może postawić nas przed

tak niespodziewanym wzrostem produkcji rosyjskiej, iż dopuszczenie Rosji do jakiegoś bliższego porozumienia gospodarczego byłoby rzeczą zbyt ryzykowną.

Wszak celem owego porozumienia byłaby nietylko wspólna obrona przed konkurencją krajów o taniej ekstensywnej uprawie, ale i uwolnienie Europy od niespodzianek, łączących się z istnieniem wielkiego światowego rynku zbożowego. Wystarczy rzucić okiem na mapę, na wielkie przestrzenie Afryki i Australji, dotąd nawet na mapach niekolorowane, jako niezbadane dostatecznie, aby zdać sobie sprawę, jak ogromne możliwości powiększenie produkcji stoją jeszcze przed nami, zwłaszcza przy dalszym postępie hydrotechniki. Rolnicy europejscy tylko wówczas będą mieli byt zapewniony, gdy organizacja gospodarcza zabezpieczy ich przed rujnującemi niespodziankami i gdy warunki rynku, od którego są zależni, będą możliwe do skontrolowania.

Już na początku tej rozprawy wspomniałem o wzroście zapasów zbożowych, zwłaszcza pszenicy; przewiduję, że te ostatnie przy końcu roku gospodarczego 1930/31 wyniosą 12.5 miljonów ton. Przedewszystkiem rozmiary zapasów czynią handel światowy nerwowym, unieszkodliwienie ich byłoby rzeczą pierwszorzędnej wagi. Jest to wielkie zadanie, które miałoby do spełnienia porozumienie międzynarodowe; pod tym względem musiałoby objąć i kraje zamorskie. Wymieniane są rozmaite sposoby, jak np. wysłanie zapasów dla głodującej ludności Chin, przerobienie na spirytus i t. p. Wydaje mi się, że możnaby z nich stworzyć żelazną rezerwę na wypadek nieurodzaju, co roku wymienialną, a mogącą być naruszoną tylko za zgodą wszystkich państw zainteresowanych.

Komisja Studjów Unji Europejskiej, obradując w Paryżu przy końcu lutego 1931 r., zajęła się zapewnieniem zbytu dla zapasów pszenicy krajów środkowo-wschodnio-europejskich, pozostawiając sfinalizowanie odnośnych tranzakcji krajom, bezpośrednio zainteresowanym; tem samem

dano możność pominięcia Polski, co może być w politycznym interesie Niemiec.

Akcja, zapoczątkowana w Paryżu, winna być prologiem do zajęcia się zapasami światowymi, co jednak nie może opóźniać dzieła, zainicjowanego przez Brianda.

Stosunki gospodarcze krajów europejskich są zbyt różnorodne, aby można znieść granice celne między nimi; musiałoby to spowodować upadek produkcji słabszych i pauperyzację, względnie wyludnienie dotyczących krajów. Dlatego też w przyszłości, przewidzieć się dającej, dążenie do stworzenia z Europy wspólnego obszaru celnego byłoby lekkomyślnością lub robotą dla silniejszego. Wspólny interes gospodarczy państw europejskich powinien jednak dać wyraz solidarności europejskiej o tyle, aby cła między poszczególnemi państwami europejskiemi były niższe, niż w stosunku do państw, przedzielonych od Europy oceanami lub opierających swoją kulturę i ustrój gospodarczy na zupełnie innych podstawach, jak to ma miejsce w Rosji.

Trudności, na które napotykamy w tworzeniu odnośnej organizacji, są tak natury prawnej, jak i gospodarczej. Co do pierwszego, chodzi tu przedewszystkiem o klauzulę największego uprzywilejowania. Państwa, posiadające ją w traktatach z poszczególnymi krajami europejskimi, mogłyby na jej podstawie sprzeciwić się, aby ich produkta były wyżej clone.

Gdy chodzi nam tu o produkta rolnicze, wspomniany sprzeciw łagodzony byłby okolicznością, że eksport rolniczych państw europejskich pokrywa zaledwie 10% niedoboru przemysłowych państw europejskich; dalej i tem, że podźwignięcie rolniczych państw europejskich jest niezbędnym warunkiem stałego podniesienia cen produktów rolniczych, co leży w interesie państw zamorskich i wogóle państw rolniczo-eksportowych, a nawet i innych, gdyż wszędzie rozwój gospodarczy jest związany z powodzeniem rolnictwa.

Wprowadzenie ceł preferencyjnych i dotyczące porozumienie napotyka i w Europie na wielkie trudności, choćby już z tego powodu, że Wielka Brytanja, Holandja i Danja nie mają ceł zbożowych wogóle, a tem samem nie mogą ich różniczkować.

Wielka Brytanja jest, obok Rzeszy niemieckiej, największym odbiorcą produktów rolniczych, a w miarę radykalizowania agrarnych ceł niemieckich znaczenie jej jako odbiorcy wzmaga się, czego wymownym przykładem jest rozwój wymiany towarowej między nią a Polską. Wielka Brytanja jest na drodze przyznania pewnej preferencji odnośnie do importu produktów rolniczych, lecz nie państwom europejskim, ale swoim dominjom; a to przyznając im tak zwaną „kwotę", na mocy której przetwórcze zakłady angielskie byłyby zobowiązane przynajmniej 55% swojego zapotrzebowania pokrywać towarem, pochodzącym z imperjum. Jest to pouczający przykład, iż pod tym względem Coudenhove-Calergi ma słuszność, że przy bliższem zespoleniu państw europejskich Wielka Brytanja wcielić się do niego nie da, gdyż przewaga jej interesów leży w dominjach.

Podczas obrad genewskich nad konwencją handlową w marcu 1930 r. zaproponowała Austrja, aby państwa europejskie obniżyły cło na zboże europejskie do 50%. Wniosek ten odrzucono.

Państwa środkowo-wschodnio-europejskie na konferencjach w Bukareszcie i Warszawie postanowiły domagać się wprowadzenia europejskich ceł preferencyjnych. Wprowadzenie preferencji uniezależniłoby rolnictwo państw europejskich od zgubnych fluktuacji handlu światowego.

Inaczej rzecz miałaby się, gdyby państwa naddunajskie potrafiły wykorzystać zbliżenie się do Polski w celu uzyskania obniżenia ceł naszych. Byłoby to dla rolnictwa polskiego zabójcze, zwłaszcza, że tamtejsze koszta produkcji są znacznie niższe, choćby wskutek braku ciężarów socjalnych. Już w rozprawie mojej „Rolnictwo a Paneu-

ropa“, drukowanej w styczniowym zeszycie „Rolnictwa“, zwracałem uwagę na niebezpieczeństwo umowy weterynaryjnej z państwami bałkańskiemi, o ileby nie zapobiegała epizoocji, przyczem uwzględnić należy, iż tamtejsza służba weterynaryjna jest znacznie gorsza od naszej.

Gospodarcze zbliżenie się Polski do państw naddunajskich może mieć tę główną zaletę, iż wzmocni obopólne siły przy targach naszych z wielkiemi europejskiemi państwami przemysłowemi, głównie Niemcami, o uzyskanie lepszych warunków dla naszego eksportu rolniczego. Obawiam się jednak, że Niemcy, chcąc Polskę gospodarczo osłabić, wykluczą nas od tych pertraktacji; są już pewne oznaki, że obawy moje nie są płonne, a czy nasi gospodarczy sojusznicy ujmą się za Polską, jest rzeczą wątpliwą.

O ileby państwa środkowo-wschodniej Europy miały występować na zewnątrz na polu handlowem jako całość, uwzględnić należy, że produkta państw bałkańskich są jakościowo gorsze od polskich, mogłyby więc opinji naszej szkodzić.

Nie zapoznaję dobrych stron pewnej solidarności państw środkowo-wschodnio-europejskich na polu polityki gospodarczej, wydaje mi się jednak, że zbliżenie się do państw, które są lub mogłyby być odbiorcami naszych produktów rolniczych, byłoby dla nas o wiele ważniejsze. Zamierzona unja austrjacko-niemiecka może wywrzeć zły wpływ pod tym względem. Nasze Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Rolnictwa, Przemysłu i Handlu mają tu doniosłe zadanie do spełnienia; dokonałyby wielkiej rzeczy, gdyby im udało się tak sprawą pokierować, aby nas Niemcy od Austrji nie odsunęły, ale przeciwnie, aby nas Austrja gospodarczo zbliżyła do Niemiec.

Zapoczątkowana unja austrjacko-niemiecka grozi utratą rynku austrjackiego dla najważniejszych towarów eksportu polskiego, zwłaszcza dla trzody, co byłoby nową katastrofą dla naszych rolników.

W porozumieniach międzynarodowych, prowadzących do stworzenia europejskich ceł preferencyjnych, upatruję najlepszy środek zwalczenia kryzysu. Uważam, że jesteśmy już nie na brzegu, ale na stoku przepaści, dlatego też, gdyby usiłowania, zmierzające do wspomnianego celu, zawieść miały, decydowałbym się nawet na wprowadzenie monopolu, ale uważałbym to za środek ostateczny.

Ludność Polski wzrasta mniejwięcej o 400 tysięcy rocznie, co musi znaleźć wyraz w konsumcji. O ile w międzyczasie nie nastąpi postęp techniki rolniczej, któryby pozwolił na zwiększenie produkcji bez dalszych kosztów i poważniejszych nakładów, Polska stanie się pod względem zbożowym krajem stale deficytowym; coby z jednej strony na nasz bilans handlowy źle oddziałało, ale z drugiej polityce celnej ułatwiłoby wpływanie na ceny.

Taka tendencja rozwojowa byłaby zdrową, o ileby jej towarzyszył postęp przemysłu. Ewolucja kierunku konsumcji może ją zatamować. W każdym razie chodzi tu o dłuższy okres, a położenie rolnictwa żadnej zwłoki nie cierpi.

Mimo wszystko nie oddaję się pesymizmowi, jak to uczynił p. Roman Dmowski w swoim artykule „Kryzys" ze stycznia 1931 r., pisząc: „. . .nie minie on tak, jak dawniejsze kryzysy mijały" „. . .dopóki nie zmusi narodów" „. . .do znalezienia dróg nowych, których jeszcze nikt nie widzi". Takie postawienie sprawy byłoby zupełnie beznadziejne, gdyż jakież to mają być „nowe drogi, których nikt jeszcze nie widzi"?

Wydaje mi się, że pod względem społeczno-gospodarczym są tylko trzy różne drogi, oparte na trzech różnych światopoglądach i nie sądzę, aby mogła istnieć jakaś czwarta, zasadniczo od nich się różniąca. Z trzech przezemnie wspomnianych, dwie, to skrajne ekstremy, a trzecia, to złoty środek.

Pierwsza, oparta na idei własności prywatnej i wolnej konkurencji, przyczem obie niczem nie krępowane, gdyż rzekomo egoizm prowadzi w końcu do błogiej harmonji, to też ogranicza ona państwo do roli żandarma.

Druga, oparta na zniesieniu idei własności, na walce klas, zburzeniu wszystkiego, co było i omnipotencji państwa; to bolszewizm, wyprowadzający najlogiczniej praktyczne wnioski z nauki Karola Marksa, podniesionej przez jego zwolenników do rangi ewangelji.

Trzecia, to solidaryzm, wypływający z historycznego badania rozwoju gospodarczego, opierający społeczeństwo nietylko na prawach ale i obowiązkach własności prywatnej; przeczący, jakoby istniał jakiś homo economicus, kierujący się wyłącznie egoizmem i kalkulacją. Zadaniem państwa jest dać tak egoizmowi, jak i altruizmowi odpowiednie pole działania dla dobra ogółu.

Celem naszym musi być, idąc tą drogą trzecią, zwalczyć obecny kryzys i nie wątpię, że jest to zadanie do osiągnięcia. Czas nagli, gdybyśmy więc natrafiali na przeszkody na terenie międzynarodowym, trudne na razie do przezwyciężenia, trzebaby chwilowo ograniczyć się do zakresu, oznaczonego władzą własnego państwa, trzymając się jednak zawsze idei poszanowania zobowiązań międzynarodowych.

Kornel Paygert.

PRZYMUS I SWOBODA W WYCHOWANIU MORALNEM MŁODZIEŻY.

Bez przesady można powiedzieć, że górującą nad wszystkiemi innemi troskami ludzkości jest obecnie troska o jej umoralnienie. Gdy zważymy, ile w tem ostatniem pojęciu mieści się treści, obejmującej swoim kręgiem wszelakie poczynania człowieka, jako członka rodziny, narodu, państwa — wówczas twierdzenie powyższe nie wyda się może przesadnem. Dziś kwestja ta stała się jeszcze bardziej palącą wobec niewątpliwego faktu powstania w całym cywilizowanym świecie reakcji przeciwko zbyt materjalistycznemu pojmowaniu życia ludzkiego, reakcji, podyktowanej tęsknotą za życiem idealniejszem, więcej, niż obecne, oddanem kulturze duszy.

Jednym z objawów dążeń w tym kierunku są kongresy, urządzane w okresach czteroletnich przez odnośny Komitet międzynarodowy i poświęcane wyłącznie sprawie wychowania moralnego. Od r. 1908 po rok 1930 -- z przerwą, spowodowaną przez wojnę — kongresy te zbierają się kolejno w Londynie, Hadze, Genewie, Rzymie i Paryżu. W szczególności na ostatnim kongresie, który się odbył w Paryżu, w końcu roku 1930, generalny sekretarz wspomnianego Komitetu, Gould, we wstępnem swem przemówieniu nader jasno wyłuszczył zasadniczą ideę tych kongresów, nawiązując do myśli Pascala, który powiedział, że poprzez długi szereg pokoleń ludzkich, od wieków następujących po sobie, powinniśmy widzieć tylko jednego człowieka, który wciąż istnieje i wciąż się uczy. Pascal miał tu na myśli tradycję i rozwój umysłowy ludzkości, zaś Gould stosuje to do jej rozwoju moralnego. Podróżując po całym

świecie i przemawiając setki razy w duchu umiłowanej przezeń idei do młodzieży europejskiej, azjatyckiej, afrykańskiej, z ras białych i czarnych, widział on tylko jedno dziecko, które w imię szczytnych zasad religijnych należy wciąż umoralniać.

Ta świetlana myśl przyświecała wszystkim poprzednim kongresom, a więc także paryskiemu. Czytając sprawozdanie z jego obrad, pomieszczone w obszernym tomie, wniknąwszy w treść wszystkich referatów i rozpraw, widzimy, że wybitną ich cechą charakterystyczną jest wielki entuzjazm dla sprawy wychowania moralnego i wiara, oparta na faktach, że entuzjazm ten zatacza coraz szersze kręgi.

Podały sobie ręce kraje całego świata, bo też i sprawa jest niemałej wagi! Nierzadko się zdarza, że wielkie i cenne pomysły wychowania moralnego gubią się w ciasnych, teoretycznych dociekaniach i sporach, tak, że właściwy ich cel znika. Tego właśnie potrafiły uniknąć wspomniane kongresy, zwłaszcza paryski. Ponad wszystko usiłują one rozdmuchać i podsycać ów żywy płomień zapału i wiary w moralne odrodzenie ludzkości.

Obok zagadnień „O spożytkowaniu historji w wychowaniu moralnem" i „Różnych metod wychowania moralnego", głównym tematem obrad kongresowych była sprawa „Przymusu i swobody w wychowaniu moralnem". Charakterystycznem jest, że wszystkie referaty, dotyczące tego tematu, były zgodne co do tego, że w wychowaniu moralnem, jak w każdem innem, muszą panować jednocześnie przymus i swoboda. Zadaniem wychowawców jest umiejętne łączenie tych dwóch czynników tak, ażeby żaden z nich nie osiągał zbytniej przewagi nad drugim. Na szczególną uwagę w tym dziale zasługuje, jako memento dla wszystkich wychowawców, referat Rosjanina Kowalewskiego, byłego prezesa Komitetu oświaty publicznej w carskiej Dumie, a obecnie członka Instytutu Nauk Słowiańskich we Francji. Oto, co opowiada on o wychowaniu w szkołach sowieckich, gdzie swoboda uczniów doprowadzona

jest do absurdu. Nie istnieje tam żaden przymus, władza nauczycieli szkolnych jest zredukowana do minimum. Wszystkiem rządzą organizacje autonomiczne uczniów, których rozwój moralny ulega stopniowej depravacji przez naczelną władzę polityczną. Zgubne skutki tego dają się dotkliwie odczuwać rosyjskiej emigracji we Francji, dokąd stale przybywa pewna ilość młodzieży z kraju sowietów w celu dokończenia edukacji. Swoboda, dochodząca do odrzucenia wszelkiej hierarchji w dziedzinie wychowania, zupełny brak karności w połączeniu z najobrzydliwszem służalstwem, wychowały całe pokolenie, głęboko niemoralne. Gdy dodamy do tego arogancję, zupełny brak poczucia godności człowieka oraz zdumiewającą ignorancję w sprawach kultury, otrzymamy niezachęcający zaiste obraz wychowanków szkół sowieckich.

Zwolennicy zbyt daleko posuniętej swobody w wychowaniu młodzieży, idącej aż do nieposzanowania hierarchji i połączonego z tem rozluźnienia karności, która w wychowaniu moralnem musi zawsze odgrywać ważną rolę, powinni ten odstraszający przykład zawsze mieć przed oczami.

Józefowa Hilarowiczowa.

„ZŁOTE MYŚLI“ O DEMOKRACJI.

Poświęciliśmy już cały szereg artykułów zagadnieniom zmierzchu demokracji i powszechnej reakcji zawiedzionego świata przeciwko hasłom rewolucji francuskiej, które w dalszej swojej konsekwencji zrodziły socjalizm, komunizm lub destrukcyjne sejmowładztwo. Podajemy poniżej garść opinji w tej sprawie, wypowiedzianych ostatnimi czasy przez wybitnych mężów stanu i publicystów.

Na ankietę, rozpisaną przez D-ra Gustawa le Bon na temat, czem jest demokracja, najdobitniej odpowiedział Mussolini: „Demokracja, to rząd, który daje lub stara się dawać ludowi iluzję suwerenności. Środki tej iluzji bywały różne w różnych okresach dla poszczególnych ludów, podstawa jednak i cele nie zmieniły się“.

Czołowy publicysta radykalno-społecznej „Dépêche de Toulouse“ stwierdził niedawno m. in., że „zaciekłość w walce o tekę ministerjalną warunkuje całe życie parlamentarne“.

„Zjednoczenie przemysłowo-handlowe dla obrony społecznej“ we Francji opracowało memorjał, domagający się zastąpienia indywidualnego głosowania do parlamentu wyborami, opartemi o rodziny, jako najbardziej powołane do wypowiadania „opinji publicznej“ osoby prawne. Jest to ciekawy przyczynek do postulatu oparcia ordynacji wyborczej o pionowo skonstruowane gospodarcze związki zawodowe, w których całe pracujące u szczytów czy u dołów społeczeństwo byłobyześrodkowane i zorganizowane, postulatu, opracowanego już naukowo w całym szeregu państw, a omawianego już wielokrotnie i na łamach „Naszej Przyszłości“.

Omawiając trudności przy usanowaniu ostatniego rządu francuskiego, pisze znany polityk w „Journal des Débats“ m. in.: „Sytuację obecną charakteryzuje właśnie to,

że nie chodzi wcale o nadanie pewnego kierunku sprawom publicznym, a jedynie o wynalezienie gabinetu, któryby był na rękę parlamentarzystom. Cała ta operacja, sprowadzona do skromnych rozmiarów, obchodzi jedynie specjalistów, gdyż doniosłość polityczna i konsekwencje narodowe pozostawione są na los szczęścia".

Inny działacz stwierdza z goryczą na łamach „Petit Bleu", że demokracja dała Francji w ciągu 60 lat 87 gabinetów, wskutek czego „gdy powstaje poważniejszy zatarg w łonie gabinetu lub na arenie międzynarodowej, Francja znajduje się nieprzygotowana".

Przemawiając na uniwersytecie w Edynburgu, b. minister angielski, Winston Churchill, powiedział na temat kryzysu demokracji m. in.: „Anglja, która dumną jest z tego, iż jest kolebką parlamentaryzmu, straciła wiarę w ten system, nieodpowiadający wymaganiom współczesnego życia. Izba lordów ma system przestarzały, a Izba gmin traci z dniem każdym na powadze. Partje polityczne rozpadają się tak, że do następnych wyborów stanie już 8 partji". Ażeby wybrnąć z tej sytuacji, proponuje Winston Churchill stworzenie parlamentu ekonomicznego. „Ludzie dobrej woli, stawiający ponad kłótnie partyjne dobro kraju, powinni porozumieć się natychmiast co do planu odpowiedniej akcji, gdyż chodzi tu o Anglję, której losy odbić się muszą na sprawie pokoju światowego". Dziennik angielski, podając tę mowę, życzy powodzenia nowej idei, rzuconej przez Winstona Churchilla.

Litewski minister rolnictwa, Aleksa, przedstawiając gospodarczą sytuację Litwy jako świetną, podkreślił, że Litwa uniknęła kryzysu ekonomicznego jedynie z powodu zniesienia w kraju ustroju parlamentarnego.

Nieustraszony bojownik o stosowanie „objektywizmu gospodarczego" w życiu publicznem, zamiast frazeologji demokratycznej, p. Coty, właściciel wielkich dzienników

i przemysłowiec, pisze w swoim organie „L'Ami du Peuple", że demokracja parlamentarna jest główną przyczyną drożyzny i stałego niezadowolenia mas. Demokracja bowiem, sprzyjając etatyzmowi i nadmiernemu rozdymaniu budżetu w celu zaspakajania pretensji niezliczonych ilości wyborców i „polityków", żądnych „karjery" i „posady", wytwarza błędne koło, zmuszając parlament i rząd do ciągłego podwyższania podatków w interesie utrzymania równowagi budżetowej, co znowu z kolei doprowadza do rozpaczy podatników, podważając rentowność prywatnych warsztatów, uniemożliwiając kapitalizację i rujnując produkcję przez zmniejszenie siły nabywczej ludności. W rezultacie — chroniczny kryzys gospodarczy, z którego niema wyjścia bez naruszenia samej doktryny demokratycznej, jako właściwego źródła zła. Przecież doszło do tego, że p. Vincent Auriol pisze w „Populaire": „Świętujmy deficyt!".

Ma to znaczyć oczywiście, że niedobór jest à la longue ruiną dla wielkiego państwa, jak Francja. Jest to dowód, że jest ona rządzona przez nieprzewidujących i niezdolnych. Deficyt musi być wyrównany nowymi podatkami, co powoduje niezadowolenie podatników i podrożenie życia. Wyborcy więc „na złość" głosować będą na najskrajniejszych! Słynny zaś radykał Herriot, burmistrz Lyonu, mówi sobie najspokojniej: „Deficyt, to fraszka, byleby korzystający z naszej wspaniałomyślności głosowali następnie na naszą listę". W ten sposób lewicowe partje francuskie zyskują głosy zarówno niezadowolonych z nadmiernych ciężarów podatników, jak i korzystających z deficytu urzędników, nauczycieli i innych funkcjonarjuszy względnie pracowników publicznych, wywierających ze swej strony, przez potężne swe organizacje syndykalne, terror, uzależniający całkowicie posłów od rozkazów tych związków!

Tout comme chez nous — przed zamachem majowym!

X. Y.

PO PRZEWROCIE W HISZPANJI.

Dla każdego szczerego zachowawcy ustanowienie republiki w Hiszpanji musi być faktem, w danych warunkach z wielu względów alarmującym.

Przedewszystkiem horoskopy co do najbliższej przyszłości półwyspu Iberyjskiego przedstawiają się, jak dotąd, wprost groźnie. W Katalonji chwyciła władzę irredenta, proklamując początkowo nawet niepodległość tej prowincji „w ramach federacyjnej republiki Hiszpańskiej“. Za jej przykładem poszli Baskowie. Rząd stołeczny targuje się, apeluje, łagodzi, ale niewiadomo, czy zdoła ostatecznie zapanować trwale nad sytuacją.

W wielu miastach już sam tłum pousuwał urzędników, wybierając sam sobie „władze“. Gdzieindziej znów zdobył „szturmem“ więzienia, zwracając wolność wszystkim... ofiarom niesprawiedliwości burżuazyjnej. Wybuch strejków przedstawiany jest oficjalnie jako — poryw radości z powodu zgniecenia tyranji. W pewnej miejscowości spalono Kościół, w innych wypędzono księży. Episkopat i duchowieństwo są „inwigilowane“, kazania denuncjowane jako „polityka“. Waluta spada raptownie, grożąc poważnym kryzysem gospodarce krajowej. Wojsko wierne monarchji ulega redukcji, rugom, dymisjom. Generałowie wtrącani są do więzienia, pewien pułkownik pada ofiarą samosądu, rozerwany dosłownie w strzępy.

„Powszechny entuzjazm“ tłumów niszczy piękne zabytki przeszłości, pomniki i płaskorzeźby, jako „pamiątki po tyranji“. Rząd ogłasza pompatyczne manifesty i wzywa naród do nieprzelewania krwi bratniej, której żąda uli-

ca. Marzyciele, doktrynerzy i aferzyści wszelkiego rodzaju, profesorowie i studenci, demagodzy i wichrzyciele „rządzą“ istotnie tym krajem analfabetów, wstecznym, niesfornym, według wskazówek Wielkiego Wschodu i drugiej międzynarodówki. Trzecia zaś międzynarodówka zdecydowana jest oczywiście wykorzystać ogólną anarchję i rozprzężenie dla uszczęśliwienia na swój sposób Hiszpanji, „uwolnionej z pod jarzma dyktatury królewskiej“, dyktaturą proletarjatu.

Władcom Kremla chodzi o zamianę półwyspu Iberyjskiego na placówkę sowietów, na awangardę rewolucji wszechświatowej, czerwone kowadło na południowym zachodzie Europy, jako odpowiednik czerwonego młota rosyjskiego. Zagrożone zaś bezpośrednio państwa Europy — wśród nich niestety i Polska — nie uznały za wskazane odmówić wiz paszportowych „hiszpańskiej sekcji kominternu“, złożonej z Iberyjczyków, Żydów, Rosjan i murzynów, która też, po uroczystem pożegnaniu w Moskwie, przejechała przez Warszawę, Berlin, Paryż — w kierunku granicy hiszpańskiej!!

Daj Boże, by narodowi hiszpańskiemu zaoszczędzone były straszne losy wszystkich „wielkich rewolucji“! Prawda, że liczne dotychczasowe próby w ciągu ubiegłego wieku wprowadzenia „integralnej demokracji“ w Hiszpanji kończyły się zawsze dość szybko powrotem prawowitego monarchy — ku ogólnej radości narodu. Co będzie obecnie, niewiadomo. Stwierdzić tylko możemy, że przewrót republikański jest specjalnie dla Hiszpanji katastrofą, z której oby zdołała się ocalić! Smutnie to wygląda, gdy walą się w gruzy podstawy ładu społecznego, a jeszcze smutniejszym jest fakt, że po tylu już doświadczeniach i naukach dziejowych istnieje tylu jeszcze „polityków“, zdawałoby się rozsądnych, którzy nie umieją i nie chcą się uczyć z cudzej niedoli, ani zapomnieć własnych romantycznych iluzji z lat studenckich. Są oni dlatego stale narzędziem w rękach różnych ciemnych sił, działających w ukryciu, a dą-

żących w ostatecznym celu do zniszczenia moralnych podstaw ludzkości, do usunięcia Boga, jako praźródła władzy i prawa!

Bo tylko do tego, a nie do czego innego, zmierzają wybuchy rewolucyjne w obecnej epoce, już przecież od dawna głęboko zdemokratyzowanej i aż nazbyt w każdym kierunku postępowej, wykluczającej więc jakiekolwiek powody do „wyzwalania się z więzów", które wszystkie narody cywilizowane już oddawna potargały.

Że upadek monarchji hiszpańskiej wywołał dziką radość wśród liberałów, radykałów, socjalistów i komunistów, to nic dziwnego. Wszak spowodowały go wspólnym wysiłkiem masonerja i czerwone międzynarodówki. Manifestacje republikańskie lewicy parlamentu węgierskiego, niecierpliwość pewnych organów prasy niemieckiej z powodu ociągania się Rzeszy z uznaniem młodej republiki, insynuacje francuskiej prasy wywrotowej przeciw królowi Alfonsowi, zachwyty prasy moskiewskiej — to rzeczy zgoła naturalne. Chodzi przecież o walkę z tronem i ołtarzem według utartych wzorów.

Natomiast wyrazić musimy — i to nas najwięcej obchodzi — prawdziwe zdumienie wobec naiwnie sentymentalnych głosów różnych naszych dzienników mieszczańskich i „chrześcijańskich", witających „zwycięską demokrację hiszpańską". Gazeta Warszawska przyznaje przytem wprawdzie, że rewolucją hiszpańską kieruje masonerja, nie podkreśla jednak, że tenże sam sojusz masońskiej kielni z czerwonym sztandarem, który działa w Hiszpanji, dąży także do rewolucyjnego obalenia nietylko obecnego reżimu w Polsce, ale wogóle ładu i niepodległości naszej ojczyzny. Nie podkreśla tego, bo przecież nasi „narodowcy" nie gardzą okolicznościowo wykorzystaniem roboty i tych sił, aby tylko wygrać „Kulturkampf" w Polsce. Jest to dla nich ważniejszą troską od obrony najpoważniej zagrożonych podstaw kultury zachodniej. I dlatego nie widać

na łamach ich prasy tego zdecydowanego potępienia, jakie podyktować im powinno przeświadczenie o wzmagającem się w Europie niebezpieczeństwie komunizmu, który w samych tylko Niemczech posiada cztery miljony partyjnie zorganizowanych wyznawców!

Najgorzej jednak postąpił Kurjer Polski, aczkolwiek finansowany przez pewne poważne sfery gospodarcze w Warszawie. Podczas gdy tysiączne tłumy demokratyczne w krajach zachodnich, witając w sposób wzruszający nieszczęśliwego władcę hiszpańskiego w przejeździe, starały się wyrazić mu uznanie dla wielkich jego zasług na rzecz ulżenia doli ofiar wojny, to dziennik ten przelicytował się z prasą międzynarodówek w oczernianiu króla, jako „sprytnego geszefciarza“, który swój gest abdykacyjny osłodził sobie niby zabraniem wielomiljonowych walorów, gromadzonych skrzętnie w czasie panowania, „na wszelki wypadek“. Dostało się oczywiście i królowej, będącej w całej Europie przedmiotem czci i poważania. Dla sprawców przewrotu zaś same zachwyty!

Mamy nadzieję, że historja nie pójdzie według wskazówek Kurjera Polskiego i należycie oceni zasługi króla Alfonsa dla podniesienia prestiżu i stanu gospodarczego Hiszpanji. Tymczasem jednak republika hiszpańska osłabia bez żadnej wątpliwości odporność Europy wobec realnej, grożącej wciąż „burzy od wschodu“.

„Geszefciarstwo“ zaznaczyło się też w tej rewolucji, ale z innej strony, niż to insynuuje Kurjer Polski. Oto wiadomo nam coś, na razie niestety jeszcze nie dość dokładnie, o roli, jaką podobno odegrały w całej tej sprawie wielkie koncerny naftowe, usiłujące oddawna utrwalić swój monopol w Hiszpanji. A wiadomo, że od szczytów wielkich koncernów naftowych do szczytów masonerji nie bardzo daleko!

Ostatnie wiadomości z Hiszpanji wskazują niestety na to, że najgorsze nawet przewidywania wydają się być uzasadnione. Rewolucja, niezadowolona z prób rządu tym-

czasowego utrzymania jej w karbach i nadania jej charakteru spokojnej ewolucji, rzuciła tłum do ataku na redakcje pism katolickich, na kościoły i klasztory. Łuny pożarów oznajmiają zaniepokojonemu światu kierunek, jaki zaczyna przybierać zmiana reżimu za Pirenejami. Bezcenne zabytki sztuki, wspaniałe świątynie, starodawne zacisza klasztorne padają ofiarą płomieni, wzniecanych przez rozszalały motłoch. Obrońcy Wiary masakrowani są na ulicach. Robotnicy strejkują, na statkach wojennych wybuchają bunty.

A rząd? Premier Zamora, na wzór Kiereńskiego, wzywa z okien, z balkonów, na placach publicznych naród do „opamiętania się". Zapowiedziane surowe represje kierują się jednak wyłącznie przeciw monarchistom i zwolennikom byłej dyktatury. Policja i wojsko przyglądają się naogół bezczynnie, jak tłum niszczy, pali, morduje. Taki jest rozkaz... ale głuchy pomruk rozlega się w szeregach obrońców ojczyzny i ładu społecznego. Zaczynają już mieć dosyć tej zabawy w demokrację! Największą nienawiścią zieją przywódcy anarchji do Jezuitów, im przedewszystkiem zaprzysięgają zgubę. Aresztowani zaś dygnitarze i monarchiści nawet w więzieniach nie są pewni przed żądnym ich krwi tłumem.

Z uzasadnioną obawą śledzimy dalszy rozwój wypadków!

A. R.
